

TATERNIK

Magazyn
Polskiego Związku Alpinizmu

ISTNIEJE OD 1907 ROKU

4

1998

www.pza.org.pl



Spis treści

„Urusvati?” – nowy polski sześciotysięcznik	1
Makalu – sukces schyłku stulecia .	2
21 szczytów ośmiotysięcznych . . .	3
Jaskiniowy rok 1998	8
O potrzebie taternickiego przewodnika po Tatrach Wysokich	10
Asekuracja w piaskowcach	15
X Biennale Fotografii Górskiej	17
Upadek władcy przestrzeni	18
Polskie samotne przejście	
El Capitan	19
Fetowanie rekordu	20
Na skraju Antarktydy, Ziemia	
Królowej Maud	22
Pożegnania	28
Kurtki	32
Listy	35
Jaskinie i speleologia	36
Więści organizacyjne	38

Zdjęcie na okładce: W tatrzańskim lodowej ścianie

Fot. A. Kłos

Zdjęcie obok: Na lodospadzie w Dolinie Wielickiej

Fot. A. Kłos

ISSN 01373155

Piotr Wroczyński, Andrzej Zboiński

„Urusvati?” nowy polski sześciotysięcznik

W sierpniu 1998 roku wyprawa zorganizowana przez Mazowiecki Klub Górski „Matragona” z Warszawy, działający przy Oddziale PTTK „Mazowsze”, zdobyła dziewiczy sześciotysięcznik w masywie Lahul w Himalajach Zachodnich. Zdobytemu bezimiennemu szczytowi o wysokości 6130 m uczestnicy wyprawy zaproponowali nazwę „Urusvati”, co w tłumaczeniu na język polski znaczy „Światło Jutrzenki”, pochodząca od identycznej nazwy muzeum fundacji im. Mikołaja Roericha (1874-1947), rosyjskiego malarza, który osiadł i mieszkał aż do śmierci w himalajskiej dolinie Kulu. Miejmy nadzieję, że nazwa ta zostanie zaakceptowana przez władze indyjskie i znajdzie się w przyszłości na mapach tej części Himalajów. W skład ośmioosobowej wyprawy wchodził: Andrzej Zboiński (kierownik), Grzegorz Siekierski, Katarzyna, Krzysztof i Piotr Wroczyńscy (wszyscy z Warszawy) oraz ks. Krzysztof Gardyna z Bielska-Białej i Wojciech Szypuła z Węgierskiej Górki. Wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem. 21 sierpnia, po dość trudnej wspinaczce skalno-lodowymi ścianami grani północno-zachodniej szczyt osiągnęli ks. Krzysztof Gardyna i Ryszard Wrona, a następnego dnia na wierzchołku stanęli: 19-letnia Katarzyna (jedyna kobieta w składzie wyprawy), Piotr (jej ojciec) i Krzysztof Wroczyńscy oraz Grzegorz Siekierski.

Wyprawa nasza była jedną z kolejnych ekspedycji w rejon doliny Koa Rong w Lahulu i działała w okolicy innego sześciotysięcznika KR 2, zdobytego przez członków naszego klubu w roku 1984 („Taternik” 1/1985). Dorobkiem sześciu poprzednich wypraw było zdobycie trzech dziewiczych sześciotysięczników oraz dziesięciu pięciotysięczników (schematyczna mapka rejonu działania znajduje się na tylnej okładce Taternika 2/1978). Tak

więc tegoroczna nasza wyprawa nawiązała do sukcesów poprzednich ekspedycji i dodała do osiągnięć klubowych następną sześciotysięcznik. Stało się to możliwe nie tylko dzięki bardzo dobrej atmosferze panującej w zespole i dość łaskawej pogodzie, ale przede wszystkim dzięki dobrej dyspozycji fizycznej członków wyprawy i dobremu rozpoznaniu szczytu przez poprzednie wyprawy. W czasie or-



Szczyt (6130 m). Widok z przełęczy północno-zachodniej, zaznaczona droga wejścia.

ganizacji wyjazdu, w Polsce, napotkaliśmy na poważne trudności wynikające z niezmiernego bałaganu panującego w odnośnych urzędach w Indiach – na tydzień przed wyjazdem dowiedzieliśmy się, że nie mamy zezwolenia na szczyt i tylko dzięki interwencji różnych „wysoko postawionych urzędników” z tygodniowym opóźnieniem udało się opuścić Polskę. Niemalże gryzot przyniosło nam nadawanie „niewinnego karga”, ale dzięki dużej odporności psychicznej i woli wyjazdu udało się 31.07. o godzinie drugiej po południu odlecieć samolotem do Bukaresztu, a stamtąd o 12 w nocy do Delhi. Należy w tym miejscu niewątpliwie podkreślić olbrzymi wkład i doświadczenie, uzyskane w organizacji poprzednich wypraw, naszego kierownika Andrzeja Zboińskiego, bez którego wyjazd nie doszedłby do skutku.

No i już nareszcie jesteśmy w Delhi – wszystkie przeszłe trudności z przesyłką bagaży w Polsce zbladły wobec ogromu biurokracji indyjskiej. Dwa dni, w upale, odsyłani od jednego urzędnika do drugiego odbieramy nasze kargo z lotniska, by w końcu po załatwieniu niezbędnych formalności w Indian Mountaineering Foundation 6 sierpnia wyjechać autobusem do Manali (ok. 400 km na płn.

od Delhi). Po uzupełnieniu zapasów żywności 9 sierpnia wieczorem wyruszyliśmy przez przełęcz Rothang do Darchy, gdzie zorganizowaliśmy karawanę składającą się z sześciu mułów. Po dwóch dniach marszu założyliśmy bazę wyprawy na wysokości 4660 m w uroczym zakątku doliny Panchal Nala, na hali pokrytej trawą i kwiatami, przy brzegu niewielkiego jeziora. Po założeniu dwóch obozów pośrednich, pierwszego na wysokości 5100 m, drugiego 5700 m (na lodowcu pod przełęczą oddzielającą nasz szczyt od wspomnianego poprzednio KR 2), rozpoczęliśmy atak szczytowy. Dość trudne okazało się przejście bariery seraków ciągnących się wzdłuż całej górnej partii przełęczy, jak i pokonanie, w połowie drogi, stromego, bardzo kruchego zebra skalnego. Ostatnie 150 m wiodło dość stromo nachylonym polem śnieżnym tuż obok wyjątkowo kruchej ostrogi skalnej. Zdobyty przez nas szczyt, o umiarkowanych trudnościach, okazał się bardzo efektywny i niewątpliwie dostarczył nam dużo satysfakcji i niezapomnianych wrażeń.

Po zlikwidowaniu obozów przejściowych i bazy głównej 24 sierpnia rozpoczęliśmy powrót do Darchy, by 31.08. znaleźć się w kraju.

Makalu

– sukces schyłku stulecia?

W minionym sezonie wyprawa alpinistyczna z Rosji (kierownik Sergiej Jefimow) dokonała pierwszego przejścia słynnej zachodniej ściany Makalu (8463 m) w Himalajach Nepalu. Wejście, które znawcy sceny himalajskiej uważają za największy wyczyn całego dziesięciolecia, zakończyło się niestety smutno: śmiercią dwóch alpinistów. Zachodnia ściana już w latach 80. była celem ataków ambitnych zespołów. Jako jedni z pierwszych próbowali ją pokonać Polacy, m.in. Jerzy Kukuczka i Wojciech Kurtyka. Nikt jednak nie posunął się wyżej niż 7500 m – strome urwisko 3000 m wysokości, zła pogoda, stanowiły przeszkodę nie do prze-

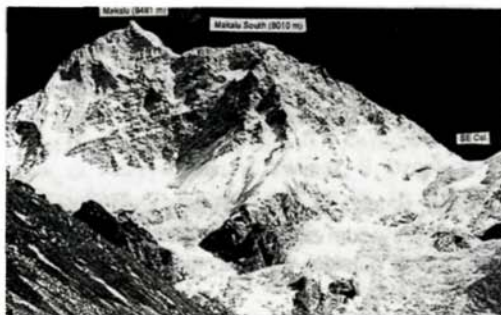
zwycięzenia. W ciągu kwietnia 1997 ekipa rosyjska zaporęczała dolną część ściany. Najwyższy obóz stanął na wysokości 7300 m. Następnie trójka pokonała najcięższy technicznie fragment: niezwykle trudny filar liczący 600 m wysokości. Nie bacząc na zmęczenie i wichurę, zespół ten wspiął się do grani szczytowej, gdzie czekał na przybycie drugiego zespołu. W jego składzie był Salwat Chabibulin, który 21 maja zmarł nagle, zapewne wskutek nadmiernego wysiłku, gdyż to on właśnie prowadził wszystkie trudne wyciągi, wkładając w to dużo sił. Pozostała piątka: Aleksiej Bołotow, Nikołaj Jilin, Dimitri Pawlenko, Juri Jermaczek i Igor Bugaczewski ruszyła trudną granią w kierunku szczytu i osiągnęła go tego samego dnia. Mimo zmęczenia i dolegliwości wysokościowych, w drodze powrotnej pochowano Chabibulina. Ponieważ jeden ze schodzących zgubił wcześniej plecak, wraz z partnerem ruszył szybko w dół, by uniknąć mroźnego biwaku. Pozostali schodzili wolniej, walcząc z potwornym zimnem i objawami deterioracji. 24 maja jeden z nich, Igor Bugaczewski, został trafiony kamieniem i zginął na wysokości 6500 m. Uczestnicy wejścia twierdzą, że była to zdecydowanie najtrudniejsza wspinaczka w ich życiu – z siedmioma wyciągami w pionowej skale i lodzie.

W. Janowski

21 SZCZYTÓW OŚMIOTYSIĘCZNYCH

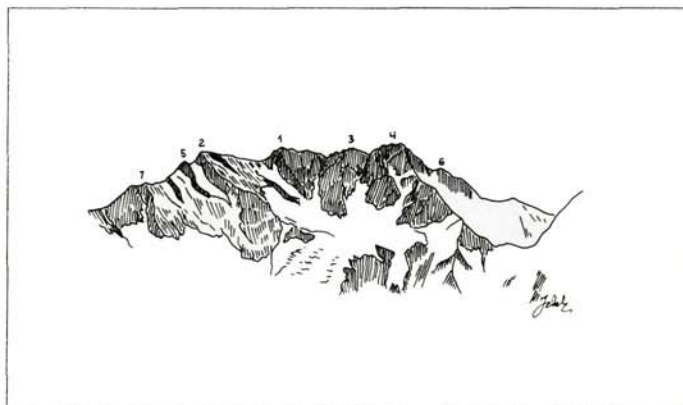
Na walnym Zjeździe Delegatów Polskiego Związku Alpinizmu, w celu zmobilizowania klubów i młodego pokolenia do odbudowy minionej świetności polskiego alpinizmu zaproponowano, aby zbiorowym wysiłkiem przeprowadzić akcję wejścia w jednym czasie na 14 szczytów ośmiotysięcznych tworzących Koronę Himalajów 14 × 8000 tak spopularyzowaną przez wejścia Jerzego Kukuczki i Krzysztofa Wielickiego. Może więc dla wielu mniej zorientowanych będzie zaskoczeniem tytuł artykułu.

Przyjęto się przyjmować, że jest 14 szczytów ośmiotysięcznych. Ale nic nie jest wieczne. Określenia form górskich wraz z zaawansowaniem eksploracji i poznania terenu ulegają zmianom. Stąd ta liczba jest już obecnie nieaktualna. Wzięta się ona z czasów, gdy chodziło o dokonanie wejść na najwyższe wzniesienia masywów przekraczające swoimi wysokościami poziomicy 8000 m. Tymczasem minęły lata i w tym okresie dokonano także wejść na następne wzniesienia, które podobnie jak się to działo w niższych górach, takich jak Alpy, traktowane są obecnie jako niezależne szczyty. Stąd liczba szczytów ośmiotysięcznych wynosi 21, a nawet być może 22. Temat ten obszernie opisałem w miesięczniku „Góry i Alpinizm” 11/98 oraz 12/98. Tutaj chcę rozwinąć temat od nieco innej strony.



Masyw Makalu od strony południowej. Makalu South, pomimo że wejścia odbywały się przy okazji wchodzenia na Makalu, jest traktowany jako niezależny szczyt o czym decyduje też rozległość masywu. Fot. Moutaineering Maps of the World Vol. 1. The Himalayas

Zwiększenie liczby szczytów ośmiotysięcznych nie jest sensacją dziennikarską, co usiłowano zrobić powołując się na źródła chińskie, wobec centralnego niższego szczytu Masywu Broad Peak. Nie odkryto bowiem nic nowego. Obecna znajomość ukształtowania kuli ziemskiej nie wskazuje na nic



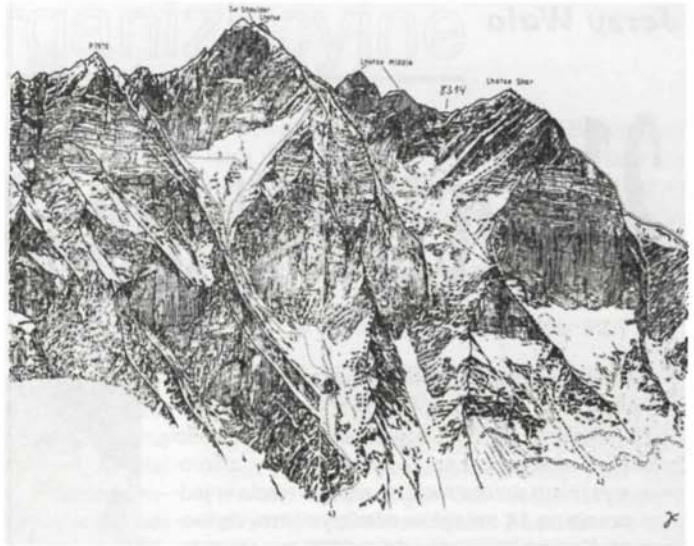
Masyw Kangchenjungi od strony południowo-wschodniej.

- 1 – Kangchenjunga (8598 m),
- 2 – Yalung Kang (8505 m),
- 3 – Kangchenjunga Central (8482 m),
- 4 – Kangchenjunga South (8494 m).

Turnie drugorzędne:

- 5 – West Pinnacle (8400 m),
- 6 – SE Tower (8150 m),
- 7 – Yalung Shoulder (8250 m).

Rys. J. Wala



*Południowe urwiska masywu
Lhotse.*

*Rysunek z przewodnika Jana
Kielkowskiego: Mount Everest
Massif. Wyd. EXPLO*

takiego. Wynika jedynie z innego spojrzenia na to co jest wszystkim znane w wyniku kształtowania się eksploracji górskiej we wszystkich obszarach naszej planety.

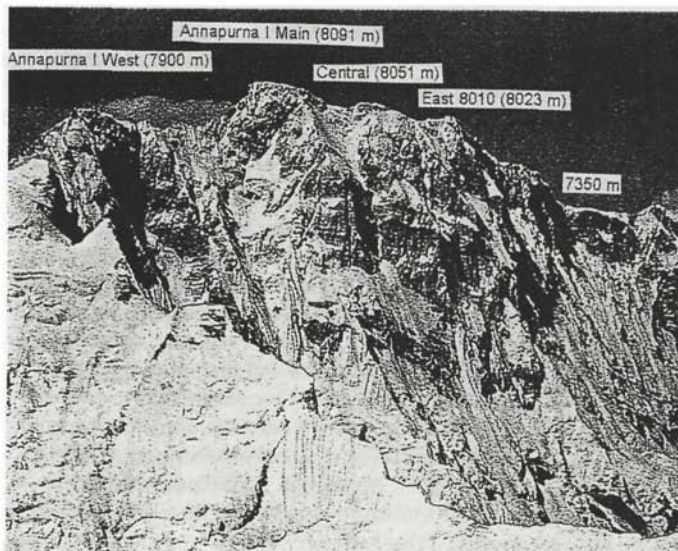
Powstaje pytanie co składa się na powiększenie liczby szczytów i czy to zmienia pojęcie tzw. Korony Himalajów.

Po pierwsze szczyty ośmiotysięczne znajdują się w dwu obszarach górskich: Himalajach i Karakorum. Granice tych obszarów przyjęte są umownie, gdyż góry Centralnej Azji tworzą zwarty, rozległy system górski obejmujący obok wymienionych **obszarów górskich** także Hindukusz, Pamir, Kun Lun Shan, Tian Shan i szereg dalszych większych i mniejszych. Wszelkie próby w literaturze górskiej

łączenia Himalajów i Karakorum w jedną całość lub nawet włączanie Karakorum do Himalajów nie mają żadnego uzasadnienia poza tym, że tu i tam są szczyty ośmiotysięczne, zresztą obejmujące nikłą powierzchnię w stosunku do całości tych obszarów górskich i nie mogące być cechą charakterystyczną dla tych gór. Stąd określenie „Korona Himalajów” jest formą umowną i nic więcej.

Powiększenie liczby szczytów ośmiotysięcznych powstało w wyniku potraktowania jako oddzielne szczyty wybitnych wzniesień, takich jak:

- Yalung Kang (Kangchenjunga West 8505, 8483 m)
- Kangchenjunga South (8494 m)
- Kangchenjunga Central (8482 m)



Kształt grani szczytowej masywu nie daje podstaw do traktowania poszczególnych wzniesień jako oddzielnych szczytów, mimo że na każdy z tych wierzchołków prowadzą oddzielne drogi z obu stron masywu. Widok południowej strony z grani Modi Peak.

Fot. Krzysztof Wielicki

Pierwsze wejścia na szczyty ośmiotysięczne

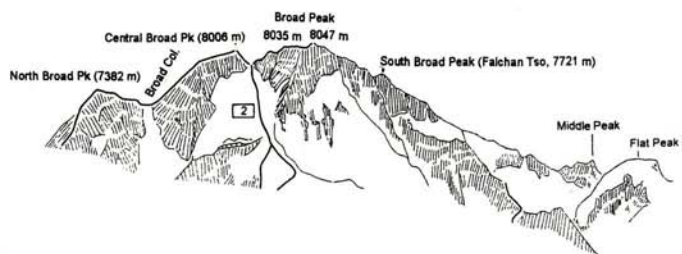
Narodowość pierwszych zdobywców	Szczyt/wys.	Liczba osób/rok	Wyprawa/kierownik
Anglicy	Kangchenjunga/8598 m	2/1955	brytyjska/Ch. Evans
Austriacy	Nanga Parbat/8125 m	1/1953	austr.-niemiecka KM. Herligkoffer
	Cho Oyu/ 8153, 8201 m	2/1954	austriacka/H. Tichy
	Gasherbrum II/8035 m	3/1956	austriacka/F. Moravec
	Broad Peak/8047 m	4/1957	austriacka/Markus Schmuck
	Dhaulagiri/8167 m	1/1960	szwajcarska/Max Eiselin
	Lhotse Shar/8386 m	2/1970	austriacka/S. Aberli
Chińczycy	Shisha Pangma/8027 m	10/1964	chińska/Hsu Ching
Francuzi	Makalu/8481 m	2/1955	francuska/Jean Franco
	Annapurna I Main Summit 8091 m	2/1950	francuska/M. Herzog
Hiszpanie	Annapurna I* East Summit/8010, 8023 m	3/1974	hiszpańska/J.M. Anglada
Japończycy	Manaslu/8156 m	1/1956	japońska/Yuko Malzi
	Makalu South/8010 m	2/1970	japońska/Yohei Itch
	Yalung Kang/Kangchenjunga West/8505 m	1/1973	japońska/E. Nishibori
Nowozelandczyk (angielskiego pochodzenia)	Mount Everest/8848 m	1/1953	brytyjska/John Hunt
Nepalczyki	Mount Everest/8848 m	1/1953	brytyjska/John Hunt
	Cho Oyu/8153 m	1/1954	austriacka/H. Tichy
	Manaslu/8156 m	1/1956	japońska/Yuko Malzi
	Dhaulagiri I/8167 m	2/1960	szwajcarska/Max Eiselin
Niemcy	Annapurna I* Middle Summit/8051, 8064 m	3/1980	niemiecka/L. Greissl
Polacy	Broad Peak Central (Middle) / 8006 m	5/1975	polska/Janusz Fereński
	Kangchenjunga Central 8482 m	3/1978	polska/P. Młotecki
	Kangchenjunga South 8494 m	2/1978	polska/P. Młotecki
Szwajcarzy	Dhaulagiri I/8167 m	3/1960	szwajcarska/Max Eiselin
	Lhotse/8501 m	2/1956	szwajcarska/A. Egger
Amerykanie USA	Gasherbrum I/8068 m	2/1958	wypr. USA/N.B. Clinch

* w zestawieniu uwzględniane są wyjątkowo niższe wierzchołki Annapurny I ze względu na specyfikę tego masywu.

Zachodnia flanka masywu Broad Peak (Falchan Kangri).

2 – klasyczna droga na główny szczyt masywu.

Rys. J. Wala



- Makalu South (8010 m)
- Lhotse Shar (8386 m)
- Lhotse Middle Towers (West Tower, 8414 m, East Tower, 8376 m)
- Broad Peak Central (Middle, 8006, 8016 m)

W tym zestawieniu turnie w masywie Lhotse potraktowane zostały wspólnie, jak to uczynił w swoim przewodniku Jan Kiełkowski. Dodając więc do liczby dotychczasowych szczytów 7 wymienionych, otrzymujemy liczbę 21. Wyodrębnianie tych szczytów na liście ośmiotysięczników wynika z faktu nie tylko ich wyraźnej odrębności w rzeźbie terenu wysokogórskiego, ale także stąd, że wejścia na nie wymagały i wymagają osobnych, wcale nie łatwych przedsięwzięć. Szczyty te posiadają rozległe formacje skalne, jak ściany, filary i granie i dziś mówi się, że Kanchenjunga South w grani szczytowej ma trzy wierzchołki. Prawie każdy z wymienionych wyżej szczytów ma już po kilka wejść

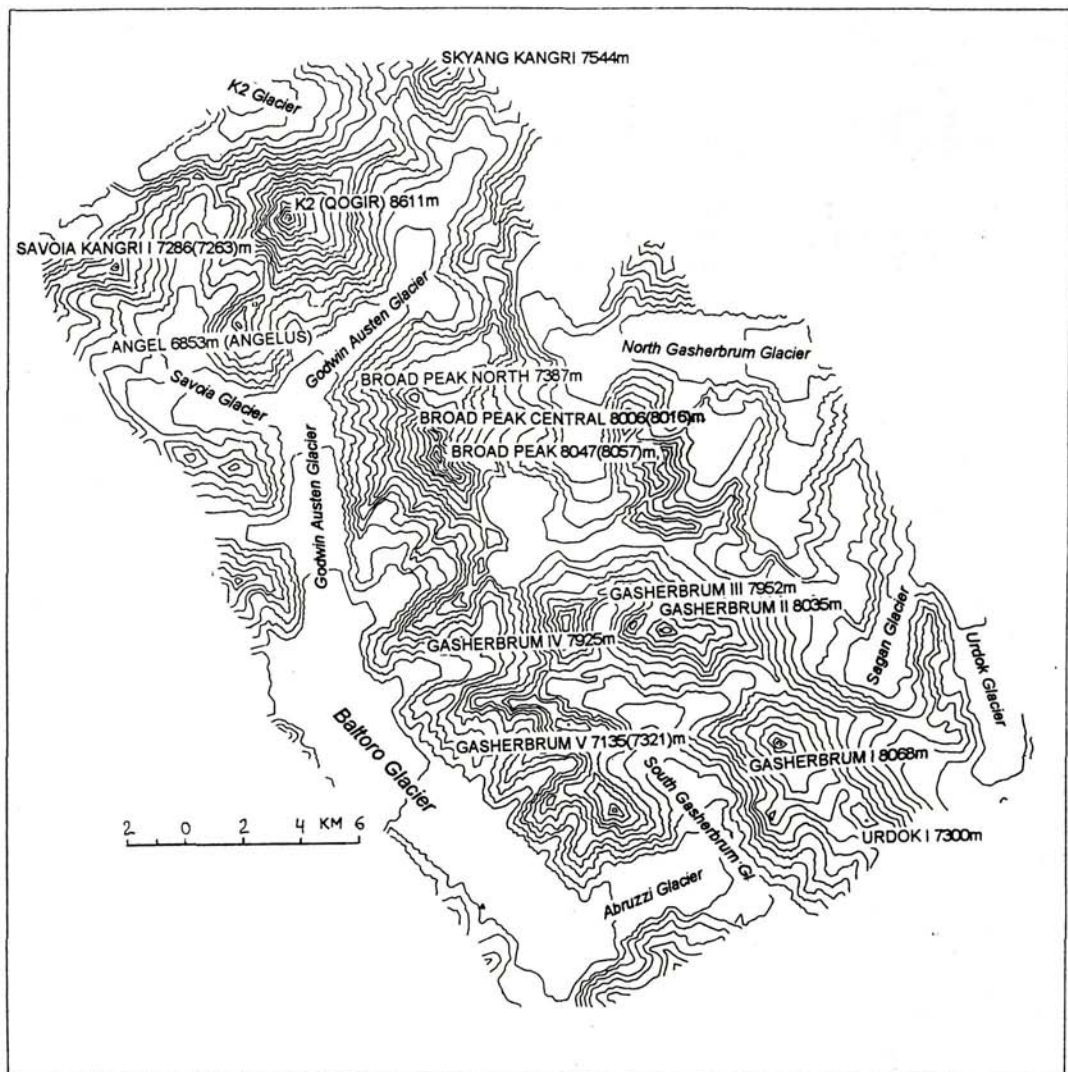
różnymi drogami. Jedynie na turnie Lhotse Middle nie jest mi wiadome, aby były jakieś wejścia.

Pozostaje drugie pytanie – czy to zmienia Koronę Himalajów? Na to pytanie trudno odpowiedzieć, gdyż jest to sprawa umowna i wynika z pewnych tradycji. Nie zmienia to faktu, że jak w każdej dziedzinie, w alpinizmie musi być ciągły postęp. Dlatego na pewno w przyszłości znajdą się tacy, którzy będą dążyć do zaliczenia większej liczby szczytów ośmiotysięcznych, podobnie jak dzieje się to wobec szczytów czterotysięcznych w Alpach. Biorąc pod uwagę stan aktualny, trzeba stwierdzić, że największą liczbę ośmiotysięczników zdobył Jerzy Kukuczka, dzięki przypadkowi, jakim było trawersowanie przez niego wraz z Wojciechem Kurtyką wszystkich szczytów masywu Broad Peak w dniach 13-18.07.1984 r. Tak więc wyścig z Reinholdem Messnerem mimo wszystko wygrał Jerzy Kukuczka.

Tabela 2

Lista szczytów 8000 m

Lp.	Nazwa	Wysokość m	Uwagi
1.	Mount Everest	8848	
2.	K2	8611	
3.	Kangchenjunga	8598	
4.	Yalung Kang	8505	
5.	Lhotse	8501	
6.	Kangchenjunga South	8494	
7.	Kangchenjunga Central	8482	
8.	Makalu	8481	
9.	Lhotse Middle West Tower	8414	nie ma wejścia
10.	Lhotse Shar	8386	
11.	Lhotse Middle East Tower	8376	nie ma wejścia
12.	Dhaulagiri I	8167	
13.	Manaslu	8156	
14.	Cho Oyu	8153	
15.	Nanga Parbat	8125	
16.	Annapurna I	8091	
17.	Gasherbrum I	8068	
18.	Broad Peak	8047	
19.	Gasherbrum II	8035	
20.	Shisha Pangma	8027	
21.	Makalu South	8010	
22.	Broad Peak Central	8006	



Mapka jest komputerową interpretacją rzeźby terenu przedstawionej na mapie Jerzego Wali: *The Eight-Thousand-Metre Peaks of the Karakoram. Orographical Sketch Map 1:50000*
The Climbing Company Ltd. Buxton – England.

Pozostaje jeszcze dla nas druga ważna sprawa. Jak wynika z załączonej tablicy pierwsi Polacy weszli na trzy szczyty, zajmując po Austriakach i Nepalczykach trzecie miejsce razem z Japończykami. A pod względem liczby osób, które wzięły udział w tych wejściach, zajmują czołowe miejsca z Chińczykami, mając na swoim koncie lepsze osiągnięcia. Z tej tablicy też wynika, że za najważ-

niejszą polską wyprawę w dokonaniu pierwszych wejść trzeba uznać wyprawę Polskiego Klubu Górskiego, prowadzoną przez Piotra Młoteckiego, której uczestnicy w 1978 roku zdobyli aż dwa wybitne szczyty ośmiotysięczne.

Oczywiście Polacy mają wiele wybitnych osiągnięć w zdobywaniu ośmiotysięczników, jak np. pierwsze wejścia zimowe, ale to nie jest tematem tego artykułu.

Krzysztof Rociński

Jaskiniowy rok 1998



Fot. Rafał Kardaś

Zagraniczna działalność polskich grotolazów to wzorem lat ubiegłych kontynuacja prac eksploracyjno-dokumentacyjnych w masywach wapiennych Alp Salzburskich. Tego lata działały tam tylko 3 ekspedycje i było to związane z nieotrzymaniem zezwoleń od władz landu salzburskiego.

Sukcesem zakończyła się sierpniowa wyprawa Krakowskiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego i Speleoklubu Warszawskiego w Leoganger Steinberge. W wyniku dołączenia wyżej położonej jaskini PL2 do Lamprechtsofen system uzyskał rekordową deniwelację 1632 m. W ten sposób ta od ponad 20 lat eksplorowana przez Polaków jaskinia stała się najgłębszą na świecie. Jest to niewątpliwie największy sukces polskiego alpinizmu podziemnego, a także osobisty sukces „etatowego” kierownika wypraw Andrzeja Ciszewskiego. O nieprzewidywanych kolejach eksploracji masywu niech świadczy fakt, że chociaż po zestawieniu planów zeszłorocznych odkryć obie jaskinie dzieliło kilkadziesiąt metrów, to w tym roku trzeba było wyeksplorować ponadkilometrowej długości ciąg, aby dokonać połączenia. Pomimo zakończenia pewnego etapu poznawania jaskiń Leoganger Steinberge, prace eksploracyjne będą kontynuowane za rok. Istnieje tu realna szansa na uzyskanie deniwelacji około 1750 m, choć może zająć to kolejne 25 lat.¹⁾

Kilka miesięcy wcześniej, na przełomie marca i kwietnia siedmioosobowa ekipa, kierowana także przez Andrzeja Ciszewskiego, powróciła po szesnastu latach w Wysokie Taury, w masyw Kitzsteinhornu. Uczestnicy wyprawy działali w jaskini Feichterschachthöhle eksplorując ją do głębokości 623 m. Tym samym została ona pogłębiona w stosunku do odkryć Richarda Feichtnera o około 130 m. Eksploracja nie została zakończona z powodu braku sprzętu i czasu. Obecnie Feichterschachthöhle jest najgłębszą jaskinią Wysokich Taurów. Kontynuacją poznawania masywu jest sierpniowy rekonasans w czasie którego odkryto 8 nowych jaskiń,

z których dwie osiągnęły około 100 m długości i kilkadziesiąt głębokości. Eksploracja w nich nie została zakończona. Najwyższy z poznanych otworów leży na wysokości 2640 m n.p.m., co przy poziomie wywierzyisk odwadniających Kitzsteinhorn (1010 m n.p.m.) stwarza nadzieję na osiągnięcie nawet rekordowych wyników eksploracyjnych.

W innym austriackim masywie – Höher Göll działała jak co roku wyprawa Katowickiego Klubu Speleologicznego kierowana przez Zbyszka Rysieckiego. Celem wyprawy było dalsze badanie wschodniej części masywu i eksploracja jaskiń Kammerschartenhöhle (-813 m) i Grubernhornhöhle (-856 m). Efektem tych prac jest odkrycie 500 metrów nowych korytarzy w pierwszej z jaskiń. Działano też na powierzchni odkrywając dwie niewielkie jaskinie o długości około 50 m każda.

W sąsiednim Tengegebirge Ost działali członkowie Speleoklubu „Boby” Żagań. 10-osobową grupą kierowała Halina Zyzańska. Wyjazd był kontynuacją eksploracji prowadzonej przez żaganiaków w latach ubiegłych. Działano w Bleikogelhöhle, gdzie nie powiodła się próba znalezienia ciągów schodzących poniżej obecnego dna jaskini (-1021 m) oraz w jaskini Czerwony Pająk (P-19), w której natrafiono na bardzo interesujące stare, poziomo rozwinięte korytarze, stwarzające możliwość dalszej eksploracji i osiągnięcia nowych 1000 metrów deniwelacji. Prowadzono również eksplorację powierzchniową.

We włoski masyw Canin wyjechała zimowa wyprawa Klubu Speleologicznego „Aven” Sosnowiec. W wyniku trzytygodniowej działalności czterech osób pod kierownictwem Marka Koziola dołączono do Complesso del Foran del Muss jaskinię Kropka Pięć i Abisso Carlo Seppenhofer, co w efekcie dało pogłębienie systemu o 134 m. Aktualnie jest to jaskinia posiadająca 22 otwory, 804 m deniwelacji i około 20 km długości. Kontynuacją eksploracji

zimowej była wyprawa letnia, w czasie której odkryto ok. 650 m nowych bocznych ciągów.

W Picos de Europa w Hiszpanii wyjechały zjednoczone siły Speleoclubu Wrocław, krakowskiego AKG, żagańskich Bobrów i Speleoklubu Świętokrzyskiego. Ponad 20-osobową grupą kierował Marek Jędrzejczak. Efektem prac jest odkrycie nowej jaskini A-3 i jej eksploracja do głębokości 432 m. Poglębiono również wcześniej odwiedzany system F-15/F-18 do -542 m. Sukcesywnie powiększono również system G-7/G-4 (Red de los Barrastrosas) dołączając do niego trzy kolejne jaskinie G-1, G-5 i G-6, chociaż wymienione połączenia wymagają jeszcze potwierdzeń.

Eksploracyjno-turystyczny charakter miały wyjazdy kierowane przez Staszka Kotarbę (KKTJ) do jaskiń Rumunii. Kraj ten ze względu na zawirowania polityczne jest dopiero przez nas ponownie odkrywany i drzemią w nim duże możliwości eksploracyjne, choć trudno mówić o uzyskaniu rekordowych wyników. Kolejne ekipy działały głównie w masywie Bihor oraz w górach Padurea Craiului, zwiedzając tam i eksplorując liczne jaskinie. Godnym odnotowania jest fakt zwiedzenia przez kilka osób jednej z najpiękniejszych jaskiń świata, rumuńskiej jaskini Skalny Oltarz.

Typowo sportowy charakter miał wyjazd grupy żagańsko-gorzowskiej do najgłębszej studni świata – słoweńskiej Vrtiglavicy Vertigo (-643 m)²⁾. Cały dziewięcioosobowy skład wyprawy kierowanej przez Tomasza Kuźnickiego osiągnął dno jaskini. Tym samym młodzi żaganiacy byli bliscy skompletowania przejść czterech najgłębszych studni świata, niestety odkrycie w tym roku chorwackiej jaskini Patkov Gust (-553 m)³⁾ pokrzyżowało ich plany i stanowić będzie (miejmy nadzieję) kolejne wyzwanie dla wyspecjalizowanej w wielkich pionach ekipy.

Sportowo-turystyczny akcent stanowi również wyjazd Polaków w masyw Vercors. Dzięki „przyjazni polsko-francuskiej” kilkanaście osób z różnych klubów zwiedziło jaskinię Gouffre Berger do syfonu na głębokości 1122 m. Działano tam na zaproszenie Speleoclub de Chilly-Mazarin z Paryża.

Tegoroczna działalność w górach Polski była niezwykle skromna. Śladem lat poprzednich główne prace eksploracyjne koncentrowały się w systemie Wielkiej Śnieżnej. Zespoły warszawskie kontynuowały prace w Partiach Amoku, czego efektem jest wyeksplorowanie 850 m korytarzy o deniwelacji 240 m. Interesującym odkryciem w tych partiach jest komin równoległy do Kominów Amoku mający być może największą kubaturę spośród „polskich pionów” (podstawa komina 30 x 60 m, wysokość powyżej 150 m). Eksploracja i prace dokumentacyj-

ne są w toku. Działalnością w tym rejonie jaskini kierował Stefan Stefański (SW).

Na swoich przodkach działali również wrocławiaczy pod kierownictwem Rafała Matei (SG Wrocław). Długość Przemkowych Partii wzrosła o ok. 200 m, głównie za sprawą wspinaczek w kominach (Komin Biwakowy) nad biwakiem założonym w okolicach Samarii. W Partiach za Kolankiem wykonano dymienie na jednym z przodków, a następnie rozpoczęto prace „górnice” na powierzchni. Ich efektem jest wyeksplorowanie nowej jaskini (bez nazwy) zlokalizowanej około 100 m powyżej jaskini Przy Przechodzie. Ma ona około 30 m długości, niestety nie dołączono jej jeszcze do systemu Śnieżnej.

Nurkowie jaskiniowi od kilku lat wykazują wzmożoną aktywność. Na uwagę zasługują rekordowe nurkowanie w jaskiniach Polski. Wiktor Bolek w syfonie w Ciasnych Kominach Miętusiańskich uzyskał 63 m głębokości przepływając 120 m.⁴⁾ W tym samym czasie (zima) Krzysztof Stamański dokonywał długich i trudnych nurkowań (28 m głębokości, 100 m długości) w V syfonie jaskini Bystrej. Syfon nie został przez niego pokonany, ale ze względu na trudności techniczne dalszych prób nie będzie. Nurkowanie w Bystrej było jedną z form przygotowania do najgłębszego nurkowania jaskiniowego wykonanego przez Polaków. Krzysztof w jednej z czeskich jaskiń zszedł na głębokość 120 m. Swoje umiejętności obydwa nurkowie doskonalili również podczas wypraw nurkowych do zalanych wodą jaskiń Francji. Wiktor nurkował w nadmorskich jaskiniach w okolicach Cassis, natomiast Krzysztof oprócz jaskiń nadmorskich pokonywał syfony w jaskiniach: Ressel, Saint Georges, Cabues (Espimiers-Ornak).

Na zakończenie tego podsumowania chciałbym życzyć wszystkim utrzymania dobrej passy w eksploracji zagranicznych masywów oraz zintensyfikowania działalności w jaskiniach krajowych.

¹⁾ Porównaj Taternik 3/98, s. 1-3 i 43 (red.)

²⁾ Jej przekrój można znaleźć w T 1/97, s. 40 (red.)

³⁾ Patrz T 3/98, s. 36 (red.)

⁴⁾ Szczegółowy opis nurkowania – patrz T 2/98, s. 12-15 (red.)

Chęć zamknięcia prac nad 4. numerem Tatarnika do początku grudnia spowodowała, że autorowi powyższego artykułu postawiliśmy trudne zadanie – podsumowania roku przed jego końcem. Trzeba się więc liczyć z koniecznością publikowania uzupełnień, jeżeli pod koniec roku w Tatrach (lub gdzie indziej) dojdzie do jakiejś sensacji. Tego rodzaju kłopotów możemy sobie tylko życzyć, a więc czekamy na doniesienia odkrywców...

Red.

O POTRZEBIE TATERNICKIEGO PRZEWODNIKA po TATRACH Wysokich

Może zdziwi ten tytuł! Przecież mamy tak dużo przewodników, poczynając od Witolda H. Paryskiego: „Tatry Wysokie”. A jednak śmiem twierdzić, że takiego, jaki jest naprawdę potrzebny, nie ma, choć minęły od II wojny światowej już 53 lata. Jest to swoiste kuriozum.

Mamy monograficzne przewodniki Witolda H. Paryskiego [1], Arno Puškaša [2] i zapowiada się wydanie kolejnych tomów przewodnika Władysława Cywińskiego [19] oraz Jana Kiełkowskiego [20, 21]. Są przewodniki: J. Andraśiego i W.H. Paryskiego [4], Jana Kurczaba i M. Wołoszyńskiego [5], A. Skłodowskiego i M. Wołoszyńskiego [6, 15, 16], Krzysztofa Łozińskiego [9, 13], A. Piechowskiego [7], T. Szczerby [8], a ostatnio także Rafała Kardasia i Wojciecha Świącickiego [17]. A jednak od wydanego w 1947 roku przewodnika czeskiego F.V. Kroutil - Z. Gellner: „Vysoke Tatry, Horolezeczky pruvodce” [3] nic takiego się do dzisiaj nie ukazało. Ten jednotomowy przewodnik obejmował całe Tatry Wysokie mieszcząc na 620 stronach bardzo cienkiego, ale wytrzymałego papieru, opisy 1381 dróg wraz z mapkami i rysunkami i przy tym dawał się schować do kieszeni ubrania lub plecaka. Dla porównania W. Cywińskiego tom 6 – „Młynarz” [19] ma tę samą objętość i zawiera opis 183 dróg.

Już trzykrotnie poruszałem ten temat w czasopiśmie „Góry” (5/1997 s. 68; 1-2/1998 s. 76-77; 10/1998 s. 76-77). Spotkałem się tylko z nieprzyjazną krytyką Jacka Bilskiego („Góry” 6/98 s. 80), a sprawa jest nadal aktualna i potrzeba wydania krótkiego przewodnika o małych rozmiarach i odpornego na wilgoć jest oczywista i pilna. Trzeba dodać, że żaden z przewodników wspomnianych autorów tego warunku nie spełnia. Składa się na to także przeładowanie treścią, przy czym sposób podania jest najczęściej zagmatwany redakcyjnie. Studiowanie ich wymaga wygodnej pozycji przy stole, a po zmoknięciu nadają się do wyrzucenia. Mają przy tym wymiary normalnej książki, cóż z tego, że ładnej z wyglądu.

Czytelników odsyłam do moich wypowiedzi w czasopiśmie „Góry”. Tu, aby nie było niejasności

oraz dla rozwinięcia tego co napisałem w odpowiedzi Jackowi Bilskiemu, podam krótko jak wyobrażam sobie ten przewodnik.

Ma to być przewodnik taternicki do ogólnego użytkowania w terenie, który przede wszystkim powinien umożliwić taternikom orientację, w złych warunkach pogodowych i gdy nie jest dobrze znana droga zejścia ze szczytów, turni i przełęczy. Powinien zawierać wybór interesujących, ale raczej dostępnych przeciętnym taternikom dróg wspinaczkowych. Przewodnik ten nie ma zastąpić opracowań specjalnego przeznaczenia,

Velká Bučínová turnia



Varianta v horní části. Dosáhnuvě SZ žebro, asi 10 m dopr. po vodor. římsách (stěnka odtlačuje) do SZ rokle (zde křížujeme č. 318). Protější stranou několik m šikmo dopr. do plochého kotle. Tímto vzhůru (lám. skály), pak suti dopr. ke stěnce z bloků, hrozících zřícením. Jakýmsi přev. žlábkem mezi nimi několik m vzhůru (t.; v rozhodné chvíli dlouhý krok na vystupný a expon. útes). Nakonec vzloubením dopr. vzhůru na sedátko v Z hřeben u těsně nad vyústěním SZ pilře do něho. Dále č. 311. — IV. Zajímavá varianta. (W. Birkenmajer, H. Kupczykova, M. Sawiniczová a L. Klimpel 14. VII. 1931.)

Fragment przewodnika Kroutila-Gellnera z 1947 roku [3] z rysunkami Zdzisława Dąbrowskiego z okresu międzywojennego. Rysunki są niedoścignym wzorem i jedynie Jan Kiełkowski niektórymi rysunkami w swoich przewodnikach im dorównuje.

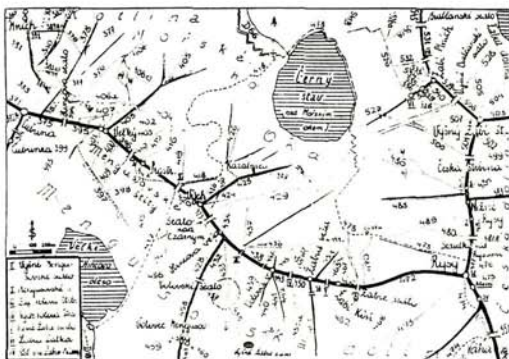
czego przykładem są Tadeusza Szczerby: „Słowackie Tatry Wysokie. Przewodnik dla turystów wysokogórskich”, Andrzeja Skłodowskiego i Marka Wołoszyńskiego: „Polskie Tatry Wysokie. Przewodnik taternicki dla początkujących”, Adama Piechowskiego: „Grań Tatr” i Rafała Kardasia i Wojciecha Święcickiego: „Topografia i terenoznawstwo”. To ostatnie opracowanie zawiera opis dróg wspinaczkowych dla przebywających na kursach szkoleniowych.

Nowoczesny przewodnik po Tatrach musi uwzględnić także warunki panujące w ciągu całego roku. Minęły bowiem czasy, gdy wspinano się i chodzono tylko latem i w pełni zimy.

Przewodnik po Tatrach Wysokich powinien zawierać około 1200 do 1300 dróg wspinaczkowych, łącznie z wejściami i zejściami ze wszystkich szczytów, wybitnych turni i przelęczy. Jest to liczba wystarczająca dla przeciętnych taterników i gdyby ktoś choć połowę tych dróg miał na swoim koncie, to będzie już bardzo dużo. Zainteresowani drogami, które w takim przewodniku się nie znajdują, mogą wykonać sobie kopie z opracowań monograficznych lub czasopism górskich. Podobnie jak jest w krajach alpejskich, w przyszłości powinny się ukazywać przewodniki zawierające wybór dróg, na przykład drogi ekstremalne.

Sprawa opracowania krótkiego nowoczesnego przewodnika taternickiego obejmującego całe Tatry Wysokie wymaga na pewno szerszej dyskusji. Aby ją wywołać podam nieco założeń.

1. Przewodnik ma służyć nieraz w trudnych warunkach terenowych i pogodowych, stąd informacja musi być lakoniczna, podana tak jasno, aby nie budziła wątpliwości w konfrontacji z terenem oraz bez zbędnych dodatków. Opis drogi za-



Mapka orograficzna z przewodnika Krutilla-Gellnera [3] są przykładem przejrzystości opracowania ułatwiającego posługiwanie się przewodnikiem.



Tylko w odniesieniu do niektórych dróg udaje się tak schematycznym rysunkiem w sposób wyrazisty pokazać przebieg drogi. Rysunek z przewodnika M. Pokszana i K. Łozińskiego [18].

wsze w kierunku posuwania się, a więc z obiektów które są celem wejścia, zawsze w zejściu. Wymaga to aby drogi, które mają służyć do zejścia, opisane były podwójnie: w górę i w dół. Wbrew pozorom nie jest to samo, gdyż inne szczegóły topograficzne brane są pod uwagę w wejściu, a inne w zejściu. To samo dotyczy zmienności warunków w zależności od pogody i zaśnieżenia. Droga w lecie trudna może być w zimie łatwa. Droga w lecie bez śniegu może być łatwa i w zimie także, ale w jesieni trudna. Teren trawiasty nieprzyjemny, ale dość bezpieczny w lecie, może być w zimie łatwy, jeśli nie ma zagrożenia lawinami, ale bardzo niebezpieczny w jesieni i na wiosnę. Do tego dochodzi spadanie kamieni. Droga wymaga innego sprzętu latem, a innego w zimie, jesienią i na wiosnę. Opracowanie będzie wymagało współpracy wielu osób, aby ustalić w okresie całego roku rzeczywiste warunki panujące na zamieszczonych drogach.

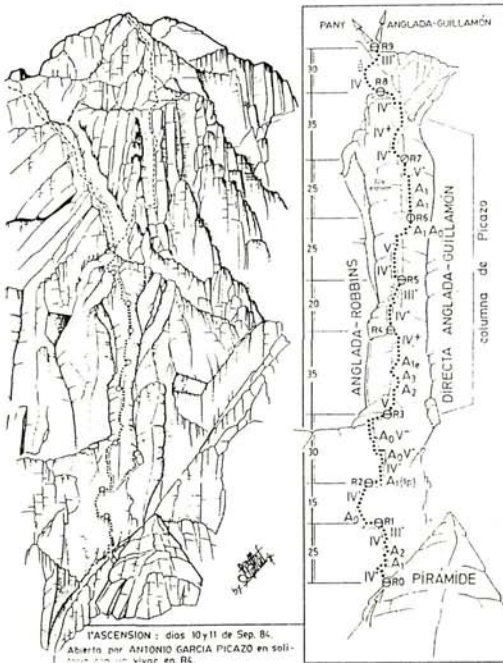
2. Opis dróg stanowiących najłatwiejsze wejście i zejście ze szczytów turni i przelęczy oraz dróg służących do wycofania się ze ścian, a także łączących poszczególne odcinki grani, musi być wyraźnie wyróżniony w tekście i na rysunkach, tak aby w terenie nie było trudności w po-

mi literami, a trudności zejścia małymi literami

- b – trudności skalne wg skali UIAA (I-VII)
- c – trudności w warunkach zimowych z uwzględnieniem nacieków lodowych, jeśli powstają oznaczyć symbolami Z1, Z2, Z3
- d – trudności odcinków przebywane z pomocą sztucznych ułatwień wg skali UIAA (A1, A2, A3, A4)
- e – skala wskazująca na wzrost trudności w warunkach jesieni i wiosny w stosunku do okresu letniego (1, 2, 3)
- f, g – długość drogi w metrach i średni czas jej przejścia w warunkach letnich i zimowych oraz czas powrotu
- h – potrzebny sprzęt w warunkach letnich i zimowych (1), (2), (3)
- j – atrakcyjność drogi oznaczona liczbą gwiazdek *, **, ***
- i – skala dostępności drogi dla małoletnich jak w przewodniku Schała [26, 27] oraz artykule [28]

PEDRAFORCA

Pared central del Calderer (Cara Norte)
Via Columna de Pícazo MD, A₁



Rysunek Armanda Ballarta pokazuje szczegółowy przebieg drogi wspinaczkowej. Pomimo że nie stosuje on symboliki dla rzeźby terenu, w korelacji ze skalą trudności drogi jest ona dobrze przedstawiona i czytelnik może sobie wyobrazić jak wygląda w terenie.

Oznaczenia wyglądałyby następująco:

Nr	a	b	c	d	e	f	g	h	j	i
125.	Ba	III	Z2	A1	2	250 m	3/6/1	/2/3/	**	

Jest ono długie, ale oznaczenie zawierałoby komplet informacji, co znacznie skróciłoby opis, a jednocześnie bardziej by go uporządkowało. Oczywiście można przyjąć inne rozwiązanie!

Każdy z tych składników wymaga osobnego opisu doboru stopni i rodzaju oznaczeń. W rozwinięciu sprawy podane byłyby też konkretne przykłady dla bardziej znanych dróg. Wymaga to osobnego artykułu.

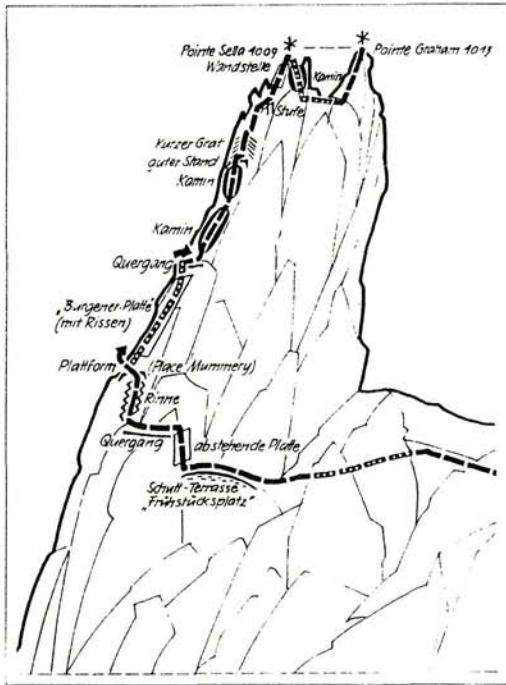
W ostatnich czasach dość modne stały się nazwy dróg. Mogłyby być umieszczone w przewodniku, ale pod warunkiem, że są w **polskim** języku, nawiązują do naszej kultury i nie noszą znamion wulgarności.

5. Dobór dróg wspinaczkowych musi być przeprowadzony pod kątem ich atrakcyjności, ale we wszystkich stopniach trudności na terenie całych Tatr Wysokich, bez preferowania obecnie najbardziej uczęszczanych formacji skalnych. Takie ściany jak północna ściana Kazalnicy Mięgoszowieckiej czy północno-wschodnia ściana Mnicha mają swoje osobne opracowania monograficzne i wystarczy, aby w przewodniku były trzy lub cztery drogi na nich od łatwiejszych i klasycznych poczynając. Wybór wymaga przedyskutowania.

Stoimy u początku XXI wieku i nie wiemy, czy zainteresowanie taternictwem będzie się utrzymywać, czy raczej zmniejszać, a może jeszcze kiedyś nastąpi powtórny wzrost zainteresowania. Zawsze jednak będzie spora liczba osób, które będą wchodzić na szczyty Tatr i im taki przewodnik będzie potrzebny.

Literatura

1. Witold H. Paryski; Tatra Wysokie. Przewodnik Taternicki. Część I-XXIV. Wyd. Sport i Turystyka 1951-1984.
2. Arno Puškaš; Vysoke Tatry I-X. Horolezecky Sprivo-dca – Monografia Sport Bratislava 1957-1989.
3. Kroutil-Gellner; Vysoke Tatry. Horolezecky Pruvodce, Dil I, II, III, IV. Orbis-Praha 1947.
4. Julius Andraš, Witold H. Paryski; Vysoke Tatry. Vyber horolezeckych vystupov. Sport Bratislava 1974.



Inny sposób graficznego przedstawienia drogi znajdujemy w książce Waltera Pause [32]. Oszczędne a zarazem przejrzyste użycie przez Renate Maier-Rothe symboli i nie zaciemniający rysunku opis form terenu daje dobrą orientację czytelnikowi. Rysunki udane pod względem graficznym. Również informacja o drodze zwarta i krótka.

5. Janusz Kurczab, Marek Wołoszyński; Najpiękniejsze szczyty tatrzańskie. Wyd. Sport i Turystyka. Warszawa 1991.
6. Andrzej Skłodowski, Marek Wołoszyński; Polskie Tatry Wysokie. Przewodnik taternicki dla początkujących. Wydawnictwo Karpaty, Andrzej Łączyński. Kraków 1992.
7. Adam Piechowski; Grań Tatr. Część 1. Huciańska Przełęcz – Zdziarska Przełęcz. Wydawnictwo TEXT Warszawa 1992.
8. Tadeusz Szczerba; Słowackie Tatry Wysokie. Przewodnik dla turystów wysokogórskich. Wydawnictwo Ryszard M. Remiszewski RMR Gliwice 1995.
9. Krzysztof Łoziński; T. 1, 122 drogi. Przewodnik taternicki. Materiały szkoleniowo-informacyjne Polskiego Związku Alpinizmu. Wyd. TEXT 1988.
10. Grzegorz Głazek i Ziemowit J. Wirski; Najciekawsze wspinaczki skalne Tatr Polskich. Materiały szkoleniowe Polskiego Związku Alpinizmu. Pracownia Kserograficzna Adam Szawłowski, Warszawa 1989.
11. Arno Puškaš; Nove horolezeckie vystupy vo Vysokych

Tatrach 1945-1953. Nakladatelstvo Cestovného Ru-
chu v Bratislave 1953.

12. Jan Żurawski; Kazalnica Mięgoszowiecka. Przewodnik taternicki. TEXT 1991.
13. Krzysztof Łoziński; T. 2. Od Szpiglasowego Wierchu do Cubrynki. Przewodnik taternicki. Materiały szkoleniowo-informacyjne Polskiego Związku Alpinizmu. TEXT Warszawa 1989.
14. Czesław Otrząsek; Przewodnik wspinaczkowy po Tatrach Wysokich (strona słowacka) Gliwice 1982.
15. Andrzej Skłodowski, Marek Wołoszyński; Granaty. Przewodnik wspinaczkowy. Wydawnictwo PTTK Kraj Warszawa - Kraków 1992.
16. Andrzej Skłodowski, Marek Wołoszyński; Zamarta Turnia. Przewodnik wspinaczkowy. Wyd. PTTK Kraj Warszawa - Kraków 1992.
17. Rafał Kardaś, Wojciech Święcicki; Topografia i terenoznawstwo. Komisja Szkoleniowa Polskiego Związku Alpinizmu 1998.
18. Marek Pokszan, Krzysztof Łoziński; ŻTM od północy, Wołowa Turnia, ściany: północna i południowa. Wyd. TEXT Warszawa 1990.
19. Władysław Cywiński; Młynarz, Tatry, przewodnik szczegółowy. Tom 6. Wydawnictwo Górskie, Zakopane 1998.
20. Jan Kielkowski; Tatry Wysokie. Część 1. Masyw Świnicy. Wyd. EXPLO, Gliwice 1997.
21. Jan Kielkowski; Tatry Wysokie. Część 2. Kościelce. Wyd. EXPLO Gliwice 1997.
22. Jerzy Wala; F.V. Kroutil – Z. Gellner Vysoke Tatry. Horolezecky Pruvodce. Recenzja. Góry 5/36/1997, s. 68.
23. Jerzy Wala; O przewodnikach wspinaczkowych i turystycznych. Góry 1-2/44-45/1998, s. 76-77.
24. Jacek Radosław Bilski; Cywiński & WHP kontra Kroutil & Wala. Góry 6/49/1998, s. 80.
25. Jerzy Wala; Jeszcze raz o przewodnikach górskich i wspinaczkowych. Góry 10/53/1998, s. 76-77.
26. Kurt Schall; Klettersteige, Österreich West + Süd / Leichter Fels. Verlag Kurt Schall, Wien 1996.
27. Kurt Schall; Klettersteige, Österreich Ost / Leichter Fels. Verlag Kurt Schall, Wien 1995.
28. Jerzy Wala; Żelazne percie Austrii. Góry 4/47/1998, s. 39-45.
29. Joe Josephson; Waterfall. Ice Climbs in the Canadian Rockies, 3rd edition. Rocky Mountain Books, Calgary 1994.
30. Andrzej Skłodowski, Marek Wołoszyński; Na graniach Polskich Tatr Wysokich. Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1992.
31. Anuario 1988/89. Grupo de Alta Montana Español (G.A.M.E.) Federacion Español de Montanismo (F.E.M.).
32. Walter Pause; Im schweren Fels. Hundert Genussklettereien in den Alpen. Vierte Auflage. BLV Verlagsgesellschaft München-Bonn-Wien 1960.

Andrzej Jacek Makarczuk

ASEKURACJA W PIASKOWCACH



Fot. A. Kłos

Rzędkowice. Upalny, sierpniowy dzień. Pod rozpaloną słońcem do białości ścianą Lechfora na trawce leży asekurator licząc niedbale nieliczne obłoki na błękitnym niebie, gdy tymczasem jego partner sięga po kolejny ekspres.

Miejsce jw. Zawodnik na Magnezjówce w dygocie wykonuje kluczowy przechwyt, a jego partnerka 15 metrów niżej, trzymając linę delikatnie w paluszkach, maślanym wzrokiem wodzi po okolicy pełnej Barczystych i Opalonych.

Są to typowe sytuacje z mydła¹⁾ jakich nigdy nie ujrzycie w piaskownicy²⁾. Tutaj asekurator jest najlepszym przyjacielem człowieka. Jakikolwiek błąd może skończyć się tragicznie, chwila nieuwagi czy zamyślenia i prowadzący odpada. Tak samo, jeśli pierwszy na linie poczyna sobie nierozważnie, łatwo może otrzymać bilet w jedną stronę – do centrum Ziemi.

Liczne wypadki, u źródeł których leży bezzmysłność i niedbałość w elementarnych zasadach asekuracji (jak wypuszczenie liny przez asekuratora czy nieskuteczne przywiązanie się prowadzącego do liny) dowodzą, że problem jest niebłaży. Albo szwankuje szkolenie podstawowe, gdzie zagadnienie asekuracji jest przecież głównym elementem programu, albo mamy do czynienia z morzem ignorancji, pełnym bałwanów. Wydaje mi się jednak, że przyczyna tkwi u podstaw współczesnego stylu skałkowego. Zakłada on zminimalizowanie, wręcz zlikwidowanie ryzyka powodowanego odpadnięciem. Wspinanie ma być bezpieczne – deklarują zwolennicy tej szkoły. I w pozornym poczuciu pełnego bezpieczeństwa robi się różne głupoty, czasami kończące się tragicznie, bowiem prawo grawitacji jest bezwzględne. W piaskowcach traktuje się sprawę bardziej tradycyjnie i do całokształtu czynności asekuracyjnych podchodzi się niezwykle poważnie, wręcz śmiertelnie poważnie. Dla większości tożantów miejscowe sposoby i sposobiki są pełne egzotyki i nieprzyjemnych niespodzianek, więc myślę że poniższe uwagi mogą ułatwić pierwsze zetknięcie z nową skałą.

LINA. Usilnie zalecam używanie liny podwójnej. Tarcie o skałę jest wyjątkowe, więc możliwość podzielenia torów i uproszczenia przebiegu asekuracji ma olbrzymie znaczenie. Początkujący „piskarze” łatwo mogą znaleźć się w pułapce: w górę nie da rady uciągnąć liny, a zejście „rajbungiem⁴⁾” (taki charakter ma większość dróg) jest prawie niemożliwe. Dodatkowo, przy kiepskich przelotach (a jakież mogą być węzły?), wpinanie jednej żyły daje mniejsze obciążenia na punkcie. Bardzo istotne jest też zmniejszenie długości potencjalnego lotu przy kolejnej wpince, a gleba jest zawsze blisko.

Przy okazji słów kilka o gościu, który trzyma linę na dole. W piachach, tak jak w górach, głęboką prawdę zawiera stare powiedzenie: może pierwszy jest bohaterem, ale drugi zna życie.

Dobre miejsce do asekuracji powinno zapewniać wgląd w drogę i znajdować się na podwyższeniu, jak pień czy blok, co da nam szansę na przysiad z zeskokiem w celu skrócenia lotu partnera. Czasami jednak może być konieczne wydanie liny, aby spadający mógł minąć np.: krawędź okapu. Ogólnie trzeba być czujnym i spodziewać się najgorszego.

RINGI. Ring piaskowcowy najczęściej wyposażony jest w kolucho. Wpinamy się do niego, gdy możemy go dotknąć, różnego rodzaju przedłużki są uchybieniem stylu. Robimy to zakrętasem⁵⁾ lub równolegle dwoma zwykłymi karabinkami. Lina przebiega wtedy przez przelot nie trąc o skałę, i dodatkowo nie grozi nam jej przypadkowe wypięcie się. W piachach utrata jednego punktu najczęściej oznacza glebowanie! Oczywiście wpinamy się w pierwszy karabinek a potem dopiero dokładamy drugi. Gdy ring nie ma kolucho, montujemy dwa karabinki szeregowo i w dolny dopiero wpinamy linę, tak aby zminimalizować szansę, że obciążona lotem przytrze się o skałę i będziemy musieli wydać 500 zł na nową. Zdarzają się też ringi z pękniętym koluchem, które nie dają się łatwo wyjąć. Wstępnie wpinamy się normalnie, w kolucho, a potem za-

kładamy skrót z taśmy na trzon, między kolucho a skałę. Tak samo zresztą postępujemy zakładając z ringa stanowisko.

Jeśli chodzi o ekspresy, to już nieraz stojąc pod kolejnym ringiem i mając go prawie, prawie w zasięgu wpinki gorzko żalowałem, że te sześć metrów niżej nie wpiąłem się zakręcanym – miałbym pół metra lotu mniej. Co bardziej strachliwi używają wyłącznie Atasy, bo Kamy są za długie.

MOSTY. Ze względu na znacznie gorszą spoiwość materiału mostek piaskowcowy jest mniej wytrzymały niż wapienny. Dodatkowym zagrożeniem jest wilgoć. Po opadzie nawet całkiem solidne oczka mogą być bardzo słabe. Znany jest przypadek urwania się mostu stanowiskowego, grubości słoniowej nogi, w dzień po deszczu. Dwójka wspinaaczy poniosła śmierć na miejscu.

Ponieważ tarcie bardzo utrudnia przepychanie pętli przez oczka, doskonale sprawdza się w boju sztywny kewlar, ewentualnie należy pomóc sobie szpadą⁶⁾.

BLOKI. Asekuracja przy wykorzystaniu bloków skalnych jest taka jak gdzie indziej. Dodatkowo, korzystając z olbrzymiego tarcia, możemy założyć **długą pętlę** z miękkiej taśmy na płaską powierzchnię bloku, otrzymując całkiem niezły przelot. Istnieje też w piaskowcach formacja skalna jakby stworzona do asekuracji, a przy okazji i do wspinań, zwana slangowo talerzem lub telewizorem. Doskonale spełnia ona funkcje bloku i jest także kłamą. Tylko ostrożnie z ciągnięciem z niej, bo bywa kruchawa!

WĘZŁY. Bez wątplenia najbardziej egzotyczne i budzące największą wątpliwości rozwiązanie asekuracyjne stosowane w piaskowcach. Ale zapewnia ono ochronę kruchej skały, a dobrze osadzony węzeł ma wytrzymałość liny, z której jest zrobiony, lub skały, w której jest posadowiony.

Istnieje wiele węzłów uważanych za piaskowcowe, ale tylko trzy są niekontrowersyjne i stosowane powszechnie: kluczka pojedyncza, kluczka podwójna i kula. Koniecznie powinny z nich wystawać długie końcówki ułatwiające ekstrakcję.

Aby węzeł pewnie pracował w rysie **musi** być umieszczony w zwężeniu zwanym lejkiem. Często szczelina tworzy lejek gdzieś w głębi i nie sposób palcami przepchnąć węzeł do środka. Wtedy rozluźniamy go (oczywiście daje się to zrobić tylko z kluczką), spłaszczamy i za pomocą szpady umieszczamy (czasami wręcz nawet ubijamy) wewnątrz. Bardzo dobrą utykaczkę robi się z trzydziestocentymetrowej, drewnianej linki, przywiązując ją metrowej długości gumą pasmanteryjną do karabinka.

Długość węzła powinna być taka, aby po wpię-

ciu do szpejarki nie obijał się o kolana (czyli krótki) i wtedy przedłużamy go np. ekspresem. Alternatywnym rozwiązaniem jest węzeł o długości umożliwiającej noszenie na sobie tak jak pętla, i wtedy do wpięcia liny wystarczy karabinek.

Idealnym materiałem na „użyty” są miękkie pętla z liny różnej grubości. Warto na cieńsze użyć dyne-my, ewentualnie kewlaru, choć ten ostatni jest trochę za sztywny. Do szczylin szczególnie wąskich stosujemy albo cienki kewlar albo lepiej sztywną, śliską taśmę (odwrotnie niż na bloki).

Należy dodać, że zwykła taśma rurowa nie nadaje się zupełnie, bowiem pod obciążeniem jej warstwy przesuwają się względem siebie i węzeł płynie. Trzeba stosować taśmę rurową sztywą lub klejoną.

Demontaż. Często wymaga użycia obu rąk, więc jeżeli robimy to w zjeździe zalecam zjazd z dolną asekuracją (tzn. w wysokim przyrządzie). Pomagamy sobie szpadą, ciągnąc jednocześnie za wystające z górnej części węzła wąsy. Jeżeli punkt był obciążony, może dojść do sytuacji, że nie da się zdemontować. Wtedy mamy dwie opcje: zostawić go albo obciążyć wystające końcówki i szpadą wepchnąć pozostałość w głąb szczeliny.

SKOKI. Jest to specyficzna dla piachów konkurencja polegająca na przedostawaniu się na turnię lub masyw przy pomocy skoku, ocenianego od 1 do 4. Asekuracja w tym wypadku polega na zainstalowaniu stanowiska możliwie najwyżej w stosunku do punktu startu i wydaniu wstępnie **odpowiedniej** ilości luzu. Nie za dużo, ale i nie za mało, bo możemy się zdziwić.

Jak zwykle kask jest dyskusyjnym elementem sprzętu. O ile w skałach nie używam kasku, to w przypadku trudniejszych skoków staram się go mieć, ponieważ ewentualny lot z pewnością nie będzie kontrolowanym zeskokiem, ani wygodnym sposobem opuszczenia niewygodnego miejsca.

ZESTAW BHP. Jest to zabierany na **każdą** drogę wybór kilku (np.: pięciu) węzłów i przynajmniej jeden kewlarek. Nauczył mnie tego Marek Płonka i już wielokrotnie wybawiło mnie to z opresji. Lepiej nosić niż się prosić.

Na koniec jeszcze kilka uwag.

Zgodnie z porozumieniem zawartym z dyrekcją Parku Narodowego Gór Stołowych podczas wspinań na terenie Hejszowiny stosujemy się do tzw. Regulaminu Saskiego. Nie można używać twardego sprzętu tzn.: kostek, friendów itp., magnezji, oraz wędki (powoduje to poważny wzrost obrotów okolicznych piwiarni). Już widzę jak młodzi gniewni się burzą. Ale czy wszystko musi być na jedną modłę? A trzeba cenić jedyny w Polsce rejon wspinaczkowy gdzie (wysiłkiem wielu ludzi) mamy uregulowane i przyjazne stosunki z gospodarzem terenu.

Wszystkie te spostrzeżenia, dotyczące specyfiki asekuracji, są niezwykle istotne na łatwiejszych drogach. Najbardziej horrorystyczne są trudności około VIII b (mniej więcej VI.2), w szczególności rysy (Żółta Rysa na Nadziei czy Pancerne Rowery na Szczelińcu to typowe przykłady). Ringów mało a już trzeba się zdrowo trzymać i trudno jest coś zainstalować. No, ale cóż, tutaj wspina się człowiek a nie sprzęt. Natomiast od IX c (około VI.3+/4) mamy najczęściej komplet ringów, no może w „nieco” większych odległościach niż w mydle i tylko niekłamany podziw dla autora drogi, (instalował je od dołu) może sprawić, że podczas wpinki zadrzy nam ręka.

Łódzki Klub Wysokogórski serdecznie zaprasza do swojego Domu w samym sercu polskich piaszkowców (Hejszowina) – Pasterka 11. Można tu

otrzymać życzliwą pomoc na początek i aktualne informacje o wszystkich drogach.

Życzę Wam, abyście przy telewizorze jedli szpadą piskarza z zakrętasem, z talerza umytego mydłem, siedząc wygodnie na rajbunku w piaszkownicy.

¹⁾ mydło – pogardliwe określenie używane w piaszkownicy na skałę wapienną

²⁾ piaszkownica – jak wiadomo dorośli chłopcy najbardziej lubią się bawić w piaszkownicy

³⁾ piskarz – wspinacz piaszkowcowy

⁴⁾ rajbung – wspinanie tarczowe, ale wspinacze wapienni mogą być zdumieni, że po czym można jeszcze wejść na tarcie. Wspinanie na przemian w piachach i mydle jest bardzo fascynującym doznaniem.

⁵⁾ zakrętas – karabinek zakręcany.

⁶⁾ szpada – tradycyjna broń piskarzy, inaczej utykaczka.

Władysław Janowski

X Biennale Fotografii Górskiej

10 czerwca 1998 r. rozstrzygnięty został konkurs fotograficzny w ramach X Biennale Fotografii Górskiej w Jeleniej Górze. 6-osobowe jury, któremu przewodniczył Jaroslav Beneš z Czech, Grand Prix przyznało Rafałowi Swosińskiemu za całość prac z Tatr i Karkonoszy. Pierwszą nagrodę otrzymał Tomasz Mielech za zestaw fotografii „Karkonosze” i „Śnieżne Kotły”. Dwie równorzędne drugie nagrody otrzymała Eta Zaręba za całość prac (Tatry, Bieszczady i Beskid Wysoki) oraz Lucjusz Cykański za zestaw fotograficzny pt. „Tryptyk Liptowski”. Nagrodę specjalną za tematykę karkonoską otrzymał Jacek Jaśko. W sumie na konkurs swoje prace przysłało 65 autorów – z całkowitej liczby 467 prac do wystawy przyjęto 112. „To już blisko 20 lat

przygody z fotografią górską. Biennale obchodzi swoje dziesiąte urodziny. Przez ten długi czas impreza usiłowała odpowiedzieć na pytanie, czy jest dla „ludzi gór”, którzy fotografują, czy dla fotografów, którzy chodzą po górach? Wydaje się, że Biennale istnieje dla tych drugich” – napisał w katalogu z Biennale Wojciech Zawadzki, fotograf, który otrzymał nagrody na I i III Biennale, a od piątej edycji tej imprezy jest jej jurorem. „Świadome fotografowanie – umiejętność operowania kadrem, widzenie formy i światła, nadawanie swoim obrazom sensów plastycznych – bardziej uniwersalnych niż przypadkowy zapis chwili, wymaga ogromnego zaangażowania – niemal treningu – kontynuuje Zawadzki. Wrażliwość i intelekt sprzężone z umiejętnością – warsztatem, bez którego nie istnieje dobra fotografia, musi czekać na swój moment. Chwilę, którą trzeba wykorzystać – zapisać. (...)”

Wystawie fotografii z ostatniego Biennale towarzyszyły cztery inne prezentacje fotografii: Awita Szuberta (1837-1919) pt. „Fotografie tatrzańskie”, Tomasza Gmerka (ur. 1960), laureatów Ogólnopolskiego Konkursu Fotograficznego im. Jana Sunderlanda „Krajobraz górski” oraz z Rudaw Janowickich różnych autorów. Z okazji jubileuszu Biennale czasopismo „Karkonosze” nr 3-4/1998 opublikowało okolicznościowe artykuły Wojciecha Zawadzkiego, Jacka Jaśki i Eugeniusza Józefowskiego oraz 12 fotografii z ostatniego Biennale.



Matterhorn

Fot. W. Janowski

Upadek władcy PRZESTRZENI

Dan Osman (35 lat), znany amerykański wspinacz i specjalista od powietrznych skoków na linie, zabił się w trakcie próby pobicia rekordu w skokach w Dolinie Yosemite w Kalifornii. Wypadek, który miał miejsce w poniedziałek wczesnym wieczorem 23 listopada br., wydarzył się w momencie, kiedy lina, na której skakał Oman, urwała się.

Osman zaczął przygotowania do tego szczególnego skoku mniej więcej cztery tygodnie wcześniej, w końcu października. Żeby założyć odpowiednie stanowisko do skoku, on i jego przyjaciele przecięli 12,5 mm statyczną linę w poprzek liczącą około 340 m wysokości rozpadliny pomiędzy Leaning Tower a Fifi Buttress – co lekko licząc dało najdłuższy w ogóle tzw. tyrolski trawers w Yosemite. Następnie cała jego brygada węzłami połączyła z sobą 3 dynamiczne wspinaczkowe liny o średnicy 10,5 mm i o długości 60 m każda i zawiesiła jeden koniec na punkcie stanowiskowym na statycznej linie, umieszczonym 90 m od Leaning Tower.

Kiedy wszystko było gotowe, Osman rozpoczął serie udanych skoków – pierwszy zmierzony liczył 228,6 m i bił dotychczasowy rekord świata w skokach na linie ze skały wynoszący 106,6 m (również należący do Osmana). Dążąc do zrobienia skoku o maksymalnej długości, Osman kontynuował próby, poprawiając kolejno rekordy: 243,8 m, 259 m i 274 m. Jego najdłuższy udany skok, po którym zatrzymał się 27 m powyżej gruntu, mierzył ponad 300 m. Po krótkiej przerwie spędzonej w domu swojej siostry w Reno (Newada), Osman zdecydował się wrócić do Doliny, zakończyć już sezon i ostatecznie zlikwidować swoje stanowisko do skoków. Razem z Milesem Dasherem (również wspinaczem i skoczkiem) wszedł na Leaning Tower, żeby ściągnąć pozostawiony tam swój sprzęt. Ale kiedy zobaczył stanowisko, wszystko przygotowane do skoku, to zawahał się i nie mógł się swemu pragnieniu oprzeć. Jeszcze tego samego wieczoru, 22 listopada, zrobił kilka skoków treningowych i zdecydował się, że następnego dnia spróbuje ustanowić kolejny rekord.

Wieczorem 23 listopada Osman wszedł na Leaning Tower raz jeszcze. Jak się później okazało, po

raz ostatni. Ponieważ uważał, że stok u samego podnóża Leaning Tower zapewni mu więcej przestrzeni do skoku, to postanowił przenieść swoje stanowisko do skoków trochę na północ i przedłużyć linę do skoku o 23 m. Warto tutaj zauważyć, że jego liny wystawione były na zmienne warunki atmosferyczne (na przemian deszcz, śnieg i słońce) już prawie przez cały miesiąc i wytrzymały więcej niż 18 długich skoków, zrobionych przez Osmana i jego kolegów. Ale Osman rozumował, iż liny były nowe, kiedy zaczynał swe próby, i powinny były wytrzymać.

Okolo godziny 18 skoczek zanurzył się w późnojesiennej ciemności. Kiedy dolatywał już do końca swojego skoku, lina, na której skakał, urwała się obok ostatniego węzła, powodując śmiertelny upadek Osmana do lasu poniżej. Krótko po tym Miles Dasher znalazł jego ciało między drzewami. Później przyszedł Michail Constantinescu, również kolega Osmana. Obaj czuwali obok zwłok przez całą noc.

Dan „Dano” Osman, oprócz swojej wielkiej fascynacji do skoków na linie, był również świetnym wspinaczem skalnym. Zaczął w wieku 15 lat, właśnie w Yosemite. W 1982 r. przeszedł bez asekuracji znana drogę „Insomnia Crack” (5.11b/6c) w Kalifornii. Jako soliście, największą sławę przyniosło mu przejście „Gun Club” (5.12c/7b+) w 1991 r. jednowyciągowej ścianowej drogi w New River Gorge w West Virginii, którą przed przejściem solowym prowadził tylko dwukrotnie. Był także autorem jednych z najtrudniejszych dróg sportowych w Stanach Zjednoczonych na początku lat 90., włączając w to „Phantom Lord” (5.13c/8a+) i „Slayer” (5.13d/8b) na Cave Rock w Newadzie. Jego wyczyny sfilmowane były w popularnej na całym świecie serii wideo „Masters of Stone” (pokazywane m.in. w Polsce na Przeglądzie Filmów Górskich w Łądku Zdroju). W ostatnim odcinku z tej serii pt. „Pure Force”, Osman przeszedł solo na czas „Bear’s Reach” na Lover’s Leap w czasie poniżej pięciu minut. Wspinał się również w górach lodowcowych. W zespołach zrobił nowe drogi: „Ride the Lightning” (VI 5.10 A4 WI3, 1200 m, 9 dni, 1997) na Middle

Triple Peak (2693 m) w Kichatna na Alasce oraz w roku 1995 południową ścianą (5.11) na Peak 4810 w Pamiro-Ałaju. Nad wyraz skromny i koleżeński – takie były o nim opinie od dawna. Osierocił 12-letnią córkę Emmę. Jego postać i motywy, jakimi kierował się w życiu, przybliżyła poświęcona mu książka Andrew Todhuntera „Fall of the Phantom Lord: Climbing and the Face of Fear”, która ukazała się w sprzedaży we wrześniu, a więc niewiele ponad miesiąc przed tragicznym wypadkiem. „Zasami jedna część mnie chce (mówi tam Osman) krzyżeć. «Masz córkę, człowieku! Obudź się!»

Próbuję pamiętać dlaczego skoczyłem ze skały w Cave, te emocje, niezwykła jasność myśli towarzysząca temu skokowi, ale nie mogę. Druga część mnie dziwi się. «Co się stało? Czemu zaczynam się bać?»».

Tragiczna śmierć tego wybitnego sportowca przypomniła mi o wypadku, jakiemu uległ Jerzy Kukuczka przed prawie dziesięcioma laty – w obu tych tragediach, choć zaistniałych oczywiście w zupełnie innych okolicznościach, bezpośrednią przyczyną śmierci było urwanie się liny. Obu tych ludzi łączy też jedno – w działaniach górskich, które podejmowali, należeli do najlepszych.

Polskie samotne przejście El Capitan

Minionej jesieni Jacek Czyż przeszedł samotnie drogę „Zenyatta Mondatta” na El Capitan w Yosemite w Kalifornii. Czyż jest pierwszym Polakiem, który pokonał samotnie te najstraszniejszą ścianę skalną w Stanach Zjednoczonych i to niezwykle trudną i niebezpieczną drogą? Jej hakowe A5 z pierwszego przejścia to dzisiaj modernistyczne trudności A4 występujące na pięciu z 16 w ogóle wyciągów. Praktycznie cała droga jest hakowa (w trzech miejscach są odcinki klasyczne – w sumie o długości ok. 50 m). Pierwszego przejścia „Zenyatty Mondatty” dokonał Jim Bridwell (i tow.) w 1981 r., legendarna postać z Doliny, zaś przejście Czyża jest prawdopodobnie w ogóle dopiero trzecim przejściem samotnym.

Czyż wszedł w drogę w słoneczny dzień w środę 14 października br. Wspinaczkę poprzedził w przeddzień 6-godzinny transport pod ścianę sprzętu, żywności oraz wody. Całkowity ciężar bagażu wynosił ok. 95 kg. Pierwsze trzy dni przebiegły zgodnie z planem minimum, zakładającym pokonywanie 2 wyciągów dziennie. Czwartego dnia na wyciągu siódmym doszło do niebezpiecznego wypadku. Pozornie zwykłe obsunięcie się z hakiem w terenie A2, zakończyło się dla Czyża ok. 25 m upadkiem. Przyczyną bezpośrednią tego (nieoczekiwanie) długiego lotu był używany przez Czyża przyrząd asekuracyjny „Soloist”, który w pierwszej fazie odpadnięcia nie zacisnął się na linie i zjechał aż do jej połowy. Pośrednio winę za długość tego upadku ponosi sam Czyż, gdyż – jak nam przyznał w bezpośredniej rozmowie – powi-

nien był przyrząd zabezpieczyć przed zsunieniem się węzłem na linie, co zresztą zalecane jest przez producenta. Jakby nie było tego dość, w trakcie porządkowania sprzętu po upadku, zrzucona swobodnie jedna z lin zaklinowała się – za skalną płetwą zahaczył się 40 metr 50-metrowego odcinka liny. Tak fatalnie, że mimo wielu prób nie udało się jej wyciągnąć. Ostatecznie Czyż linę przeciął młotkiem i odzyskał ją, co go kosztowało wiele trudu, gdyż rzecz rozgrywała się w lekko przewieszonym terenie i w bliskości mogącej w każdej chwili spaść niestabilnej skalnej płetwy, dającej zresztą jedyną możliwość przytrzymania się ściany. „Zawsze mnie to nurtowało, po co niektórzy wspinacze biorą nóż w ścianę – wspomina Czyż. Zrozumiałem to dopiero teraz, kiedy walczyłem o swoją linę”.

Choć nieco zszokowany, potłuczony i zmęczony, Czyż czuł się po wypadku na tyle dobrze, by kontynuować wspinaczkę. Jednakże te zdarzenie wpłynęło – co rozumiałe – na dalszy przebieg przejścia. Czyż wyżej wspinał się bardzo ostrożnie, tempo małało do jednego wyciągu dziennie. Ostatecznie przejście zakończył po 10 dniach i około 100 godzinach efektywnego wspinania. W dniu 23 października wieczorem zameldował się na górze, będąc stale w zupełnie dobrej formie fizycznej i psychicznej. Następnie zszedł (częściowo zjazdami, z których trzy zrobił w towarzystwie przypadkiem spotkanego zespołu amerykańskiego) z El Capa do Doliny, taszcząc cały swój wyniesiony do góry dobytek. Pogoda dotychczas bardzo dobra, tej nocy kompletnie się zepsuła, przynosząc opady śniegu w wyższych partiach gór.

Przejście Czyża należy zaliczyć do jednego z najciekawszych dokonań naszych wspinaczy w wielkich ścianach w ostatnich kilku latach.

(wj)

Fetowanie rekordu



*Pokaz slajdów w otworze jaskini.
Komentuje W. Klappacher.*

Głębokościowy rekord świata w Lamprechtsofen jest wydarzeniem nie tylko dla Polaków. Speleolodzy z Landesverein für Höhlenkunde Salzburg postanowili uczcić uzyskany na ich terenie wynik, urządzając z tej okazji uroczyste spotkanie. W osiągnięciu mają zresztą swój udział, eksplorując Lampo do roku 1978.

24 października zjechali się do dr Matthias Rachelsperger Hütte (czyli chatki klubowej przy otworze jaskini) grotolazi z obu krajów, w liczbie około 50 osób. Wśród Austriaków pojawiły się takie historyczne postaci, jak Walter Klappacher, Franz Kinesberger, Franz Meiberger, a z młodszego pokolenia Wolfgang Gadermair. W kilkunastoosobowej grupie Polaków byli m.in. przedstawiciele różnych generacji eksploratorów systemu: Andrzej Ciszewski, Czesław Dąbrowski, Krzysztof Dubiel, Jacek Dulęba, Ireneusz Felisiak, Piotr Kaizik, Rafał Kardaś, Marek Mżyk, Henryk Nowacki, Przemysław Sękowski, Wiesław Wilk i Ewa Wójcik.



*W. Klappacher (z prawej) i F. Kinesberger
– zasłużeni eksploratorzy jaskiń.*

Przy skromnym udziale telewizji i miejscowych oficjeli (burmistrzowie Weissbachu i St.Martin) odbyła się część oficjalna: Andrzej Ciszewski i Henryk Nowacki otrzymali dyplomy członków honorowych Landesverein für Höhlenkunde Salzburg oraz butelkę szampana od dzierżawcy jaskini. Mistrzem ceremonii był Walter Klappacher, jeden z najbardziej zasłużonych grotolazów salzburskich, przez wiele lat prezes tamtejszego klubu i orędownik współpracy z Polakami. Później nadszedł czas na zbiorowe zwiedzanie jaskini do pierwszej wody – czyli do Bocksee. Wraz z zapadnięciem



Przed jaskinią od prawej: A. Ciszewski, H. Nowacki, czwarty Walter Klappacher (w kasku), dzierżawca jaskini, burmistrz Weissbachu.

ciemności rozpoczęła się plenerowa projekcja historycznych slajdów – głównie z lat 60. i 70. Jedynym, ale przyjętym entuzjastycznie polskim akcentem były obrazy z nieco frywolnej sesji zdjęciowej, zrealizowanej w Lampo podczas wyprawy w 1986 r. Projekcja, połączona z krótkim koncertem muzyki folk, odbyła się w malowniczej scenarii otworu Lampo.

Ostatnim punktem programu było spotkanie starych przyjaciół, czyli przebiegające w luźnej atmosferze przyjęcie w chatce. Bawiono się do późnej nocy, spożyto morze piwa, mnóstwo kiełbasek, parówek i kotletów. Rekord został uczczony godnie.

Centralny Ośrodek Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu na Hali Gąsienicowej „Betlejemka”

oferuje gruntowne szkolenie taternicze latem i zimą:

- ✓ licencjonowani instruktorzy PZA,
- ✓ najlepszy sprzęt renomowanych firm zachodnich: Edelweiss, Beal, Salewa, Charlet, Camp, Petzl,
- ✓ wykłady i prelekcje ilustrowane przezroczami,
- ✓ bogaty księgozbiór,
- ✓ własny samochód terenowy,
- ✓ wspinaczki w rejonie Hali Gąsienicowej i Morskiego Oka,
- ✓ bezpieczny system łączności radiowej,
- ✓ noclegi, koce, gaz do gotowania.

Zgłoszenia za pośrednictwem klubów lub indywidualnie:

COS PZA, skr. poczt. 399, 34-500 Zakopane tel: 018 20 12 401

Na skraju Antarktydy Ziemia Królowej Maud

Na dwunastym metrze ciosanej ściany na górze nazwanej Brzytwą porywy wiatru chłostające znad polarnej równiny pokryły moją brodę szronem. Przerwałem wspinaczkę, by zwisając na kawałku liny spróbować wytrząsnąć skurcze z moich obolałych ramion. Pokrywa antarktycznego lodu rozłożyła się niczym widmowe białe morze daleko w dole u stóp skalnej ściany. Nigdzie, na przestrzeni wszystkich tych przemarzniętych mil nie mogłem dostrzec śladów życia. Mój wzrok jeszcze nigdy nie spoczął na tak zastygłym, nagim i pięknym skrawku ziemi. To było jak sen na jawie.

Zahipnotyzowany ogromem i odmiennością krajobrazu z trudem oderwałem się od gapienia w ten widok i wróciłem do wspinania.

Z powrotem, w to co robię, wtrącił mnie grad kamieni bijący z pionowego wywyższenia nade mną. Wyciągając szyję obserwowałem jak Alex wchodził w niepewny teren jakieś 300 stóp wyżej ostrożnie balansując na przełamaniu dużej niebezpiecznej przewieszki, podczas gdy Conrad Anker podawał linę z dołu. „Wchodzę w jeszcze trochę tej tremującej pomarańczowej skały” – Alex przekrzykiwał wiatr. „Wygląda, że będzie krucho i może sypać przez chwilę”.

Sześciu z nas próbowało tej niezdobytej góry, strzelistej granitowej klingi w zakątku Antarktydy znanym jako Ziemia Królowej Maud. Kiedy norweska ekspedycja badała ten rejon w latach 1956-1960, tę nieprawdopodobnie gładką turnię nazwano Rakekniven – Brzytwa w ojczystym języku badaczy. Sterczała zapierającym dech kamiennym ciossem na 2 200 stóp w pionie ponad lodową czapą. Czemu przebyliśmy tak wielką odległość, by wspiąć się na górę tak nieznaną, że tylko nieliczni o niej słyszeli? Na początku XX wieku legendarny irlandzki podróżnik Ernest Shackelton nazwał badanie Antarktydy „ostatnią wielką podróżą jaka została człowiekowi”. Teraz, kiedy zarówno wiek jak i tysiąclecie zbliżają się do końca, jego słowa

brzmiały bardziej prawdziwie niż kiedykolwiek. Moi towarzysze i ja, jak Shackelton, przybyliśmy na Antarktydę szukając białej plamy na mapie. Nieszczęśliwie dla nas, współczesnych poszukiwaczy przygód, samoloty, satelity i wyszukane radarowe wizualizacje uprzywilejowały sobie ostatnie niezbadane szlaki na planecie. Ale kilka miejsc jest ciągle wystarczająco nieprzyjemnych i odizolowanych, by zachować ujmującą aurę terra incognita: zakątki afrykańskiego lasu równikowego, oddalone wyniosłości Tybetu i Seczuanu, fragmenty kanadyjskiej Arktyki. Nigdzie na Ziemi nie pozostała terra bardziej incognita niż na Antarktydzie i pewnie nigdzie na Antarktydzie nie jest jej aura mocniej wyczuwalna niż w górach Ziemi Królowej Maud. Droga, którą mieliśmy nadzieję wejść na szczyt Rakekniven, prowadziła przez pionowe ostępy, o których prawie nic nie było wiadomo i których bezpieczne przejście było bardzo niepewne. Nasza wyprawa zrodziła się w umyśle fotografa Gordona Wiltsie, weterana ośmiu podróży na ten uwięziony w lodzie kontynent. Mike Graber i Rick Ridgeway dołączyli, by zrobić film o wspinaczkę.

Moja obecność, jako jedyne go członka zespołu, który nigdy nie był na Antarktydzie, była po to, by pomóc w żmudnej robocie – przeciągania 500 funtów sprzętu i zapasów, które miały nam towarzyszyć w ścianie i by utrwalić wyczyn na stronach tego pisma.

Miałem mieszane uczucia na temat wejścia na Rakekniven. Ostatnią górą, na którą się wspiąłem, był Mount Everest. Siedem miesięcy temu stanąłem na szczycie najwyższej góry świata, lecz pięciu przyjaciół przepadło wśród wściekłej burzy podczas zejścia. W wyniku tego nieszczęścia nie byłem pewien czy kiedykolwiek będę się znów wspiął i czy powinienem. Kiedy Gordon zaproponował mi przyłączenie się do tej wyprawy – zgodziłem się lecz nie bez dużych wątpliwości i rozterek. Kiedy już się tam znalazłem, starałem się oddalić te wątpliwości i wnieść co potrafię do wspinania.

Jeśli chodzi o samo przebicie drogi przez zawrotne pionowe połacie Brzytwy, to zespół całkowicie polegał na Aleksie – 38-letnim Montanijczyku, uważanym za jednego z najlepszych wszechstronnych wspinaczy na świecie, i Conradzie, 34-letnim krzepkim Kalifornijczyku, o przereźzonych włosach, którego dorobek alpinistyczny jest niemal tak samo imponujący jak Aleksa. Bez Aleksa i Conrada, którzy zmieniali się na prowadzeniu, nie śmielibyśmy marzyć o osiągnięciu szczytu.

Z bazy – gromadki żółtych namiotów skulonych na lodowcu o 15 minut drogi na nartach od wspinaczki – Rakekniven wyłaniała się jak gigantyczny cętkowany megalit przestaniający niebo prawie w całości. Jej północno-wschodnia ściana była jasnoszara, poprzecinana wyraźnymi pasami ciemniejszej rdzawej skały, która świeciła pomarańczowo, chwytając promienie porannego słońca. Ale, gdy tylko rozpoczęliśmy wspinanie, odkryliśmy, że co prawda szara skała „jest solidna jak kościół”, jak to ujął Mike, jednak pomarańczowo zabarwiony granit był zwietrzały, kruchy i niebezpiecznie zwodniczy. Chwyty i stopnie częstokroć odpadały pod ciężarem ciała. Najlejsze dotknięcie mogło postać walące w dół ściany kamienne bloki.

Drugiego dnia naszej wspinaczki Conrad delikatnie wypracowywał drogę poprzez odstrzeloną płytę z pomarańczowej skały i poruszył fragment wielkości pięści, podczas gdy Rick i ja wspinaliśmy się bezpośrednio pod nim. Słyszac skałę świszczącą w moim kierunku, przywarłem do ściany starając się uczynić jak najmniej. Rick, sto stóp niżej, spozbrał w górę, by zobaczyć skąd to poruszenie. Właśnie gdy spozbrał, mały granitowy pocisk uderzył go w zwróconą w górę twarz.

– Rick – krzyknąłem. – Czy jest OK?

„Nie jestem pewien” – odpowiedział drżącym głosem. „Sporo krwi. Poczekał chwilę”. Gdy udało mu się dojść do mojego stanowiska, byłem wstrząśnięty widokiem krwi pokrywającej całą twarz Ricka, przylepiającej włosy do głowy, spływającej po karku. Byliśmy kawał drogi od podnóża, w jednym z najbardziej oddalonych miejsc na ziemi, a wycharterowany samolot, który nas przywiózł na Antarktydę, miał nie wracać przed upływem czterech tygodni. Lecz pomijając całą tę krew, po bliższym zbadaniu rany okazało się, że jest to stosunkowo drobne obrażenie, spadająca skała zaledwie odcięła trochę mięsa z czubka Rickowego nosa, wypuszczając dużo krwi, lecz nie czyniąc trwałej szkody. Po dziesięciu minutach, uśmiechając się przez

zalaną krwią zęby, Rick oświadczył, że czuje się dobrze i kontynuowaliśmy wspinaczkę.

Potem, dzień później, Alex prowadził, wynajdując drogę w górę tej niepewnej pomarańczowej geologii, podczas gdy reszta z nas obserwowała z dołu. Starą się ubezpieczyć swoje wejście wkładając aluminiową kostkę w naturalną ryskę, ale mocno zwietrzały granit kruszył się, ciągle wypływając przyrząd. Ściana wychylała się tak mocno od pionu, że lina doczepiona do jego pasa swobodnie zwisała w powietrzu nawet nie dotykając skały. Jego ruchy zamarty w pełzaniu.

I wtedy, bez ostrzeżenia, głos Aleksa rozległ się mrozącym i zwiastującym śmierć skowyt, powodując, że bezwiednie skuliłem się i przytuliłem do skały. Jednak źle odczytałem barwę jego krzyku: „Z powrotem w szarej skale” – krzyknął Alex z niewątpliwą radością. „Tu jest świetnie na górze! Wreszcie czuję, że jest stromo! Uwielbiam to!”

Niektóre z najsłynniejszych i najznakomitszych przygód w historii odkryć wydarzyły się na Antarktydzie – wyprawy Scotta, Amundsena, Shackeltona i Mawsona stanowią przedmiot opowieści przy

Prenumerata na rok 1999

Cztery zeszyty 16 zł
(po 4 zł jeden)

Prenumeratę
prowadzi
AGADE

Wpłaty na konto:
Bank Zachodni S.A.
II Oddział Warszawa
11201027-8253-136-3000

Na blankiecie wpłaty prosimy
koniecznie podać swój adres.

kominkach na całym świecie. Lecz wspinający się po górach ociągali się z przybywaniem tutaj. Najwyższy szczyt Antarktydy Vinson Massif (16,067 stóp) – rozłożysty grzbiet, bez większych technicznych wymagań, pozostawał nie zdobyty aż do 1966 r. Również w późniejszych latach niewielu wspinaczy odwiedzało spód świata. Przeważająca większość zadawała się Vinsonem.

Rzadkość wypraw wysokogórskich na Antarktydę w ogóle, a na Ziemię Królowej Maud w szczególności, nie wynika z braku interesujących gór. Na Antarktydzie – kontynencie większym od Stanów Zjednoczonych i Meksyku razem – uchowało się tysiące wspaniałych szczytów, wśród których jest kilka najpiękniejszych i najbardziej niebezpiecznych na planecie. W jakiejś mierze mała liczba wspinaczy jest tylko odzwierciedleniem ostrości antarktycznego środowiska: w krainie, gdzie wiatr czasami osiąga 100 mil na godzinę, i podczas nawet najcieplejszych miesięcy temperatura często spada poniżej 0° Fahrenheita we wnętrzu konty-

entu, większość podróżników napotyka na wystarczające wyzwanie nie opuszczając płaskiego łądu. Jednak, historycznie ujmując, największą barierą dla wspinania nie był dziki klimat, były nią oszołamiąca logistyka i przeszkody finansowe, które należało pokonać, by zmontować jakąkolwiek prywatną wyprawę na Antarktydę.

Zespół, który pierwszy wszedł na Vinson w 1966 r., grupa amerykańskich wspinaczy w dużej mierze finansowana przez National Geographic Society, dostał logistyczne wsparcie od National Science Foundation (NSF) i od Navy. Lecz wkrótce potem oficjele rządowi uznali, że ustanowili niewygodny precedens. Wprawdzie NSF (które finansuje amerykańskie programy na Antarktydzie i kieruje nimi) posiada sieć stacji badawczych, lotnictwo, statki i zasoby paliwa na kontynencie, to utrzymanie tej wypracowanej infrastruktury w tak oddalonym i niegościnnym terenie jest bardzo kosztowne, a oficjalną misją NSF jest wspieranie badań naukowych, a nie górskich wycieczek.

Toteż NSF wycofał swoje wsparcie dla prywatnych wypraw górskich czy jakichkolwiek, którą to akcję poparły Wielka Brytania i Nowa Zelandia. A ponieważ NSF uważał, że tylko rządy posiadają niezbędne środki dla bezpiecznych działań na Antarktydzie i istniała uzasadniona troska o to, że prywatne wyprawy mogą wpaść w kłopoty i będą musiały być ratowane przez NSF, agencja zadała sobie wiele trudu, by powstrzymać prywatne wizyty na kontynencie w ogóle.

Tutaj wkrocza John Edward Giles Kershaw. Urodzony w Indiach w 1948 r. Kershaw jest uznawany za najśmielszego, najbardziej doświadczonego i wizjonerskiego pilota, jaki kiedykolwiek latał nad Antarktydą. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych przez pięć lat latał w British Antarctic Survey, BAS (brytyjskim odpowiedniku NSF), ale wycofał się, by pracować na własną rękę dla prywatnych ekspedycji. W 1980 roku, po rozstaniu się z BAS, przeleciał tysiąc mil małym samolotem z bieguna południowego do Ziemi Królowej Maud, osobiście wiele ryzykując, by ratować życie trzech odciętych od świata południowoafrykańskich naukowców – czyn heroiczny, za który otrzymał Miecz Honoru od Stowarzyszenia Pilotów i Nawigatorów Powietrznych.

W 1985 r. wraz z dwoma kanadyjskimi partnerami Kershaw zalegalizował swoją niskonakładową działalność jako Adventure Network International (ANI), w szczególności po to, by zoić prywatne wyprawy wspinaczkowe na Vinson Massif. Obsługuje ona jedyną na kontynencie komercyjną linię lotniczą. Dziesiątki wdzięcznych wspinaczy miało szansę wspiąć się w zadziwiającej krainie, a dzięki

SZKOŁA WSPINACZKOWA

Jacek Patrzykont, Rafał Kardaś
instruktorzy PZA

Szkolenia:

- ☛ *na sztucznej ścianie*
- ☛ *skałkowe*
- ☛ *tatrzańskie na kartę taternika*

Szkoła zapewnia
sprzęt wspinaczkowy

Adres korespondencyjny:

02-786 Warszawa, ul. Zamiany 5/117
tel./fax 844-38-20
oraz 659-82-60 (wieczorem)

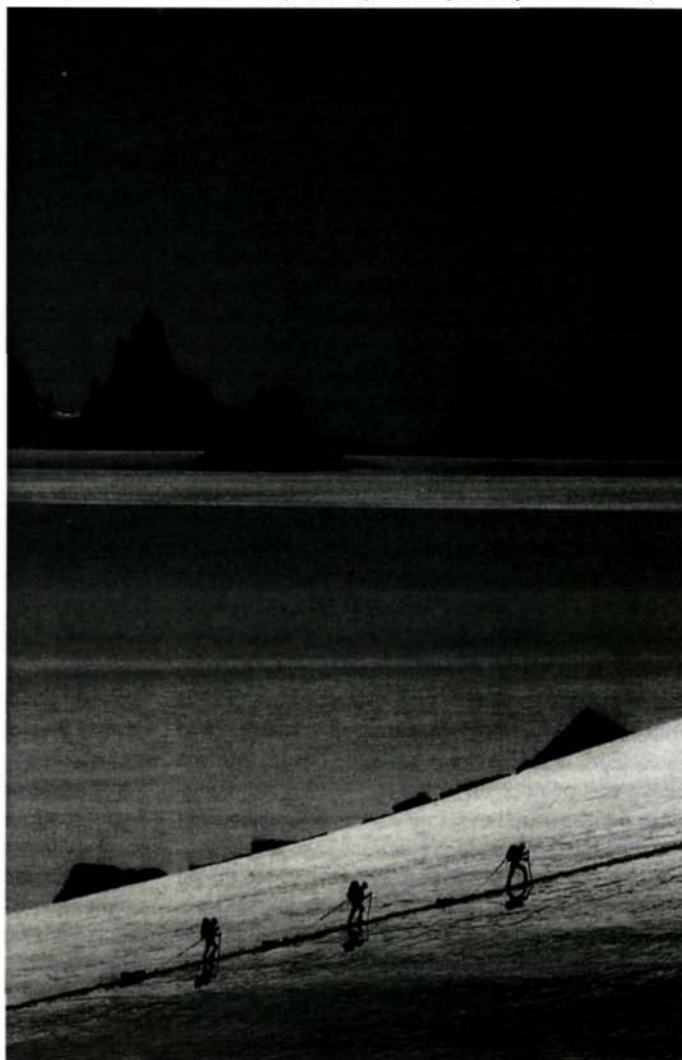
ośniewającym lotom Kershawa linia nie straciła ani jednego pasażera. Wtedy, w 1985 roku, Kershaw dla rozrywki zdecydował się dołączyć do amerykańskich przyjaciół, którzy kręcili film na Półwyspie Antarktycznym – grupy wspinaczy, wśród których był Mike Graber, mój towarzysz na Rakekniven. 5 marca Kershaw startował składanym żyroskopem, kiedy coś poszło nie tak, i latająca maszyna runęła na lodowiec. Giles Kershaw zginął mając 41 lat.

Winson może być najwyższą górą Antarktydy, ale dla pewnego typu wspinacza w żaden sposób nie jest najbardziej poruszającą. Szukając najważniejszego wyzwania, w czasie południowego lata 1993-94 norweska ekspedycja zapaściła się w prawie nie znany łańcuch o jakieś 1700 mil na północny wschód od Vinson, gdzie wspięła się na szereg uderzających granitowych turni. Zdjęcia opublikowane przez nich po powrocie w książce zatytułowanej „Ziemia Królowej Maud” wzmogły puls ambitniejszym wspinaczom od Alp aż po Yosemite. Odkryto obszar, który ma tuziny fantastycznych dziewiczych szczytów. Wielu przewidywało, że te zimne, poszarpane wiatrem łańcuchy będą następną wielką sprawą w sporcie wysokogórskim. Kiedy Wiltsie zobaczył zdjęcia Norwegów, powiedział: „Zdałem sobie sprawę, jak mało w tym rejonie zostało zbadane. Możliwości wspinania były olbrzymie i nie-tnięte. Nigdy w życiu nie byłem tak podniecony. Złożyłem przyrzeczenie, że dobiorę zespół i zrobię wszystko, co będzie trzeba, by się tam wspiąć”.

Ziemia Królowej Maud, nazwana tak dla upamiętnienia ukochanej norweskiej monarchini, która była córką Edwarda VII, jest znacznie trudniej dostępna niż rejon Vinson. W późnych latach 70. Giles Kershaw i Charles Swithinbank, wybitny brytyjski glaciolog

„Wszędzie indziej na świecie te szczyty byłyby parkiem narodowym” – mówi Gordon o turniach Fenriskaften – „Szczyki Fenrisa” po norwesku. Przypominające rząd rozrywających mięso zębów dostały swoje imię od okrutnego wilka ze staronorweskiego mitu.

i badacz, zastanawiali się nad użyciem na Antarktydzie konwencjonalnego samolotu na kołach, bez nart. Umożliwiłoby to prywatnym ekspedycjom dostawać się skuteczniej i taniej na kontynent dzięki możliwości posługiwania się zwykłymi samolotami transportowymi. (Wyposażone w narty Herculesy C-130 latają tylko w wojsku). Kluczem do tego przebojowego planu było znalezienie miejsc, gdzie silne wiatry utrzymują pokrywę lodową wolną od śniegu, co w teorii powinno umożliwić lądowanie samolotu na kołach na skrawku twardego niebieskiego lodu i potem, co nie mniej ważne, wzniesienie się do lotu powrotnego. Według Swithinbanka, chudego, siwowłosego pana, którego arystokratyczne manieri ukrywają przekorną naturę, on i Kershaw byli przekonani, że „pasy startowe na gołym lodzie przyniosą korzyść zarówno agendum rządowym jak i prywatnym ekspedycjom. Ale było jasne, że żaden rząd nie zgodzi się na lądowanie na polu



lodowym dopóki pomysł nie zostanie sprawdzony”.

W 1987 Kershaw postanowił udowodnić radykalny pomysł wysyłając zwykłego Douglasa DC-4 – czterosilnikowy liniowy samolot bez nart – z Chile na błękitny lodowy pas startowy, który on wraz z Swithinbankiem odkryli w Patriot Hills w pobliżu Vinson Massif. Rząd Stanów Zjednoczonych próbował zablokować lot ponad głowami Chilijskiego Lotnictwa Wojskowego i osadzić DC-4 na ziemi w Puentas Arenas. Ale okazało się, że Swithinbank jest przyjacielem chilijskiego generała i samolotowi zezwolono na start w kierunku Antarktydy.

Po jedenastu godzinach i 43 minutach koła DC-4 dotknęły błyszczącego niebieskiego lodu Patriot Hills i samolot dokonał trudnego lądowania.

Do jesieni 1996 r., kiedy nasz zespół przygotowywał się do załadunku na Antarktydę, ANI wykonało z powodzeniem ponad sto lądowań na kołach w Patriot Hills, odkryto również nowy możliwy pas startowy w sercu Ziemi Królowej Maud. Anne, wdowa po Gilesie Kershaw – mała jasnowłosa Szkotka o zdecydowanym charakterze, która na co dzień przejęła zarządzanie ANI po jego śmierci – zapewniła nas, że ANI może lecieć na ten nowy pas, nazwany Blue 1, bez problemu.

Dwie godziny przed północą 18 grudnia 1996 Hercules ANI wylądował na śliskiej powierzchni Blue 1 i Gordon, Alex, Conrad, Rick, Mike i ja wyszliśmy z samolotu w straszny półmrok antarktycznego lata. Przeszywający wiatr przewiewał zimnem moją puchówkę. Rozciągnięte w oddali szczyty wystawały z lodowej pokrywy jak flotylla granitowych zagłowców prujących fale zamarniętego oceanu. Gordon wskazał na przystojną górę o wybitnym profilu, jakieś 40 mil na południowy zachód. „Tam zmierzamy” – powiedział. „To Rakekniven”.

Alex, który wspinał się już w egzotycznych miejscach na całym globie, krzyknął głosem pełnym podziwu: „To najcudowniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem”. Siedemdziesiąt dwie godziny później obozowaliśmy pod północno-wschodnią ścianą Rakekniven, posyłając w kółko butelkę Wild Turkey, by uczcić letnie przesilenie i wypić zdrowie Glesa pod północnym słońcem. Dzień przed dotarciem do obozu natknęliśmy się na zmuifikowane szczątki foki krabojada. Tajemnicą było w jaki sposób, lub dlaczego przewędrowały ponad sto mil od morza. Znakomicie zachowane, wyglądały tak, jakby śmierć nastąpiła niedawno. „Być może” powiedział David Rootks, zapalony angielski biolog, pracujący dla ANI, „ale wszystko tak wolno podlega rozkładowi w tym zimnym i pustynnym klimacie, że

łatwo się oszukać”. Datowanie węglem innej zmuifikowanej foki w sąsiedniej części Ziemi Królowej Maud wykazało, że liczy sobie tysiące lat.

ANI wynajęło Rootsa dla przeprowadzenia podstawowych badań środowiska w otoczeniu Rakekniven, by ocenić skutki, jakie wywierają wyprawy na ekosystem. Jakkolwiek, na pierwszy rzut oka, skutki lodem krajobraz wydaje się być pozbawiony życia, jednak jest domem dla pijawek, alg, małych arthropodów i kilku odpornych gatunków ptaków. Pewne skalne ostańce pięćdziesiąt mil na zachód dają schronienie kolonii lądowej 250 000 petreli. Zgodnie z dotyczącym środowiska protokołem Traktatu Antarktycznego z 1991 r., mieliśmy wywierać „mniej niż znikomy lub przejściowy wpływ”. Przed załadunkiem podpisaliśmy dokumenty zobowiązujące do usunięcia wszystkich naszych odpadków z kontynentu przy wyjeździe; nawet nasze odchody miały zostać zabrane samolotem, w celu pozbycia się ich w południowej Afryce.

Następnego ranka po rozbiciu obozu nasze ręce dotknęły skały i wkrótce postępowaliśmy wytrwale w górę tej absurdalnie stromej ściany. Z Alekssem i Conradem na prowadzeniu każdego dnia zdobywaliśmy dodatkowe 300 do 400 stóp wysokości przed opuszczeniem się do bazy, zostawiając liny poręczowe dla odzyskiwania najwyższego punktu. Po pięciu dniach wspinaczki nasze liny sięgały 1500 stóp w pionie ponad lodowiec i zjeżdżanie co noc do podstawy skały stało się niepraktyczne, więc postanowiliśmy założyć obóz wysoko na zawrotnej ścianie. Ponieważ ściana miała bardzo mało naturalnych występów, musieliśmy spać zawieszani w nylonowych kokonach nazywanych „porta-ledge”. Z tego wiszącego obozowiska mieliśmy rozpocząć atak szczytowy.

Burzliwa pogoda przytrzymała nas na ziemi przez jakiś czas w tygodniu po Bożym Narodzeniu, ale kiedy burza ustała 31 grudnia, Conrad, Mike i ja udaliśmy się w górę po linach z 250 funtami sprzętu i zapasów – połowę tego, czego byśmy potrzebowali na pięć dni do jedzenia, spania i życia w skale, bo tyle według naszych ocen zabraloby nam skończenie drogi. Alex, Rick i Gordon mieli wspiąć się po linach dzień później – w Nowy Rok, z następnymi 250 funtami obciążenia.

Prawie połowę naszego wspólnego bagażu stanowił łąd pracowicie wykuwany z lodowca w celu stopienia na wodę do picia. To, że musieliśmy wyciągać skręcający kark ładunek lodu na górę na Antarktydzie, zdawało się okrutną ironią. Ale ściana była tak gładka, że śnieg i lód prawie wcale nie zbierały się na naszej drodze. Byliśmy więc zmu-

szeni zabrać część lodowca ze sobą, jeśli chcieliśmy mieć coś do picia.

„To jest robota” – powiedział Conrad z sześciocalowego występu, głośno stękając, kiedy wybierał linię przyczepioną do dwóch 80-funtowych worów.

„Tak” – zgodził się Mike – „żeby się wspinać na taką ścianę, trzeba mieć duże bicepsy i mały mózg. Trzeba umieć zredukować swoje IQ o połowę”. Tysiąc stóp nad ziemią wyciągnął małe zdjęcie swojej córeczki z kieszeni kurtki i wpatrzył się w nie tęsknie. „Co za bezmózgowiec spędzałby Święta mroząc dupę na ścianie jakiejś przeklętej skały, zamiast być w domu ze swą żoną i córką?” – zapytał retorycznie.

O 1.00 w nocy 3 stycznia, naszej trzeciej nocy w wiszącym obozie, dźwięk mojego zegarka obudził mnie w pieleszach porta-ledge’u, który miał chyba mniej życiowej przestrzeni niż przeciętny karton po lodówce, a służył jako kuchnia, sypialnia, łazienka i jadalnia dla dwóch osób. Gdy otworzyłem oczy, stopy Conrada były na mojej twarzy, a kolana wbijały mi się w żebra. Moje ręce, poobcierane żwirowatą skałą, krwawiły i były opuchnięte. Beźpośrednio nad nami zwisała porta-ledge, którą Gordon i Alex nazywali domem; usłyszałem ich jak topią lód na swojej małej butanowej kuchence. „Wypijmy dużo kawy i weźmy się za to!”. Alex zawołał ochoczo w dół: „Już czas, żebyśmy weszli na szczyt!”.

Zanim zawiązałem buty i wyślizgnąłem się z porta-ledge’u na poranny mróz, Alex, Riek i Conrad wspinali się już w szalonym tempie w górę ściany. Dogoniłem ich 200 stóp pod szczytem, gdzie system wąskich rys, którymi poruszaliśmy się, ślepo urywał się pod okapem wystającym na 30 stóp od pionowej ściany.

Mając nadzieję na znalezienie drogi wokół tej przeszkody, Alex opuścił się trochę niżej i, czyniąc z siebie wahadło, wychylił się poza ostro zakończony narożnik. Manewr ten pozwolił mu dostać się do rysy, która okazała się prowadzić ponad granitowy okap, kiedy Alex wspinał się wyżej, jego lina była mocno naprężona na ostrej krawędzi, grożąc przerwaniem. „Ten wyciąg był naprawdę ryzykanci” – wyznał, kiedy dotarł do półki i przywiązał następną linię dla reszty. „Nie podobało mi się jak ta lina biegła przez krawędź, ale kiedy już się przeniosłem za załom, nie miałem większego wyboru, jak tylko iść dalej i uważać, by nie spaść”.

Ryzyko opłaciło się: wkrótce potem zwinnie wyciągnął się ponad prostopadłe ściętą krawędź okapu, by znaleźć łatwą, szeroko rozwierającą się

plytę. A nad nią nie było nic, prócz zimnego, błękitnego nieba. O 9.40 rano Gordon, Alex, Conrad, Mike, Rick i ja dotarliśmy do wąskiego ośnieżonego grzbietu, który wyznaczał najwysiolejszy punkt Rakekniven, i objęliśmy się serdecznym, podobnie jak w rugby, uściskiem.

Dawało satysfakcję bycie pierwszymi, którzy wspięli się na ten wysmukły szczyt, lecz nasze nadęte poczucie ważności siadło, gdy Conrad wskazał na ptasie ślady, które upstrzyły śnieg u naszych stóp. Odwiedzenie wierzchołka Rakekniven to najwidoczniej żadna sprawa dla petrela. Zaśmialiśmy się ze swej próżności i wchłanialiśmy zalany słońcem widok. We wszystkich kierunkach rozciągało się opuszczone piękno Ziemi Królowej Maud okrytej milowej grubości lodowym pancerzem. Niezliczone granitowe turnie wynurzały się z bladej lodowej równiny.

„Możemy być pierwszymi, którzy wspięli się na tę górę – zadumał się Gordon, chciwie patrząc na nasz następny cel, sąsiednie skupisko turni, nazywanych Zamek Trolli – ale gwarantuję, że nie będziemy ostatnimi”.

Na podstawie tłumaczenia z National Geographic. Vol. 193, no 2, 1998

*Piotr Sadowski
Konsultacja Jan Muskat*

Antyperspiranty do stóp?

W jednym z amerykańskich czasopism alpinistycznych można przeczytać, że antyperspirantów można używać do stóp aby ograniczyć wydzielanie potu. Autor notatki poleca ten sposób użytkownikom butów skorupowych. Pomysł wydaje się logiczny. Został nawet przetestowany w Tatrach ubiegłej zimy. Prowadzący doświadczenie zraszał środkiem przeciwpotnym jedną stopę (aby mieć porównanie) i obserwował co się będzie działo. Według oceny autora (i ofiary) eksperymentu, różnice w wydzieleniu potu, czyli suchości skarpet, i w subiektywnym odczuciu chłodu są istotne i warte poświęcenia kosmetyku do takiego celu.

Pożegnania

Janusz Śmiałek



Szary jesienny ranek. Na progu Czarnego Stawu, wśród złomów skalnych zastygła grupa ludzi w nieprzemakalnych strojach. Skupiają się koło głazu, którego górną płaską powierzchnię pokrywa białe płótno. Na nim kielich i psalm. Porywy wiatru targają obrusem, gaszą stojące pod głazem świece. Dwaj kapłani o ogorzałych twarzach odprawiają misterium Mszy Świętej. Fioletowe stuły i długie alby, spod których widać podniszczone górskie buty, kontrastują z zielenią kosówki. Księża są ratownikami górskimi i modlą się w intencji człowieka, dla którego odznaka z błękitnym krzyżem była symbolem najwyższego obowiązku i poświęcenia. Padają proste słowa homilii „...w górach jest się bliżej Boga”.

Błyszcząca od wilgoci ściana Kazalnicy nuża się w Czarnym Stawie. Na lewo, na tle niskich chmur ciemnieją granie Żabięgo Mnicha, za nim niewidoczna Białczańska Przełęcz. Rok temu 26 września 1997 zginął na niej nasz przyjaciel Janusz Śmiałek.

Urodzony w czasie wojny, lata szkolne spędził w Nowym Sączu. Nie opowiadał o tym okresie, lecz wrażliwy chłopak z nauczycielskiej rodziny dojrzewający w epoce stalinizmu narażony był na wiele przykrości i upokorzeń. Na szarą codzienność, wszechobecną ideologię, tamszoną indywidualność i kłopoty domowe remedium okazały się góry. To w nich poznawał smak wędrowek i narciarskich zjazdów. Z polan Turbacza czy Prehyby przyciągały wzrok zębate Tatry. Wzywały, kusiły, były piękne i tajemnicze. Stały się jego miłością i przeznaczeniem.

Studia w Krakowie to okres intensywnego rozwoju górskich zainteresowań Janusza. Przez kilka lat był prezesem koła PTTK na Uniwersytecie Jagiellońskim. Szybko trafił do Studenckiego Koła Przewodników Górskich, gdzie zdobył uprawnienia przewodnika tatrzańskiego. W Klubie Wysokogórskim w krótkim czasie osiągnął stopień członka zwyczajnego, zaś w 1963 r. złożył ślubowanie w Grupie Tatrzańskiej GOPRu.

Każdą wolną chwilę spędzał w Tatrach. W sezo-

nie letnim 1963 trzykrotnie pokonał „wariant R” na Mnichu. Górę tę polubił szczególnie, a jej charakterystyczną sylwetkę przedstawiał w różnych pracach plastycznych.

Kiedyś wykorzystując zjazd przewodników zorganizował zbiorowe wejście na tę turnię, przy czym panów obowiązywały garnitury i krawaty, zaś panie sukienki. Linę niesiono w aktówce. Echa tej wycieczki długo rozbrzmiewały w Dolinie Rybiego Potoku i nie tylko.

Teraz strzelista bryła Mnicha, także granitowa, wieńczy grobowiec Janusza na Batowicach.

Lata 60. w Tatrach to okres wielu odkryć jaskiniowych. Czarna, a zwłaszcza Śnieżna, osiągały coraz większe wymiary. Wśród eksploratorów nie zabrakło oczywiście Janusza. Urzeczony podziemnym światem, a także pięknem Doliny Małej Łąki czy Miętusiej spędzał w Tatrach Zachodnich coraz więcej czasu. Szukał tam również problemów powierzchniowych zmagając się z pionem i kruszyną wielu ścian. Ulubionym miejscem wypadowym była wtedy dla niego chatka na Przysłopie Miętusim zwana dumnie „schroniskiem Rekina”. Zimy stanowiły wymarzoną porę eksploracji jaskiń wodnych, głównie Śnieżnej, której otwór tylko czasami udawało się odkopać ze śniegu, mimo różnych przemysłowych zabiegów.

Ten młodzieńczy okres działalności górskiej to czas umacniania się cech charakteru Janusza, które w przyszłości umożliwiły mu wielokrotne kierowanie wyprawami o najbardziej ambitnych celach i najwyższym stopniu trudności.

Bezspornie był typem przywódcy, zaś autorytet zdobywał nie poprzez narzucanie swej woli innym, lecz akceptację jego kierowniczej roli przez partnerów. Jak to było możliwe?

Świetne warunki fizyczne, autodyscyplina, ciągłe doskonalenie technik wspinaczkowych, zwłaszcza jaskiniowych, sprawiły, iż zawsze był w doskonałej formie i kondycji. Starał się być „pierwszym na linie” i tylko wyjątkowo rezygnował z tej pozycji. Wiadomo, że zawsze można było liczyć na jego pomoc i wiedzę. Było to całkiem naturalne. Nigdy

nie dawał odczuć, że ktoś jest gorszy. Przeciwnie, eksponował pozytywne cechy partnerów. Później na wyprawach, którymi dowodził, każdy był kierownikiem: od żywności, bazy, obozów, sprzętu, przejazdu, itp.

Doświadczenie taternicze i przewodnicze, także udział w licznych akcjach ratunkowych ugruntowały w Januszu ogromne poczucie odpowiedzialności. Umiął jak nikt przewidywać niebezpieczeństwa i umiał ich unikać. Wiedzę tę przekazywał innym w sposób, można powiedzieć, ciągły. Jako młodzi i sprawni buntowaliśmy się czasami przeciw rygorystycznie przestrzegany zasadom asekuracji we względnie łatwym terenie, zakładaniu lin poręczowych w różnych żlebach i na trawersach czy uciążliwemu ciągnięciu linii telefonicznej w jaskiniach. Nie do pomyslenia był w jego obecności oddzielny powrót z akcji górskiej partnerów. Na licznych ekspedycjach prowadzonych przez Janusza nigdy nie zdarzył się wypadek i to nie mogło być tylko kwestią szczęścia.

Jedną z cech charakteru Janusza była jego ogromna odporność psychiczna. Chyba nikt nigdy nie widział go załamane czy nie umiejącego znaleźć wyjścia z sytuacji. Owszem, czasem podejmował decyzję z trudem i po wewnętrznej walce, ale zawsze to On był panem sytuacji. W trakcie trudnych, wielogodzinnych akcji podziemnych zawsze starał się podnosić morale współtowarzyszy tępiąc w zarodku przejawy zwątpienia i apatii.

W roku 1966 Janusz zostaje uczestnikiem wyprawy do Gouffre Berger, najgłębszej wówczas ze znanych jaskiń świata. Było to nadzwyczaj ważne wydarzenie w jego górskim życiu. Trudy podziemnych działań i atmosferę ekspedycji przedstawił Maciej Kuczyński w książce „Czeluść”. Janusz w samotnym ataku osiągnął syfon końcowy na poziomie -1122m.

Ogrom i piękno alpejskiej jaskini, trudności sportowe sprawiły, iż wrażenia wyniesione z czeluści zapadły na trwałe w jego świadomość, powodowały chęć powrotu i ponownego odwiedzenia Sali Trzynastu. Do tej jaskini wielokrotnie wracał, dwukrotnie jako kierownik polskich wypraw.

Po roku 1970 nastąpiły czasy otwarcia Polski na świat. Trudności związane z wyjazdami zmniejszyły się i chociaż zorganizowanie wyprawy sportowej wymagało ogromnych wysiłków to było jednak możliwe. Środowisko krakowskie szybko ustaliło cel główny – Piere Saint Martin w Pirenejach. Jaskinię znaleźliśmy z opisu Taziffa, bardzo emocjonalnego ale nie zawsze rozumiałego. Czy może być pod ziemią sala wielkości czterech boisk do piłki nożnej,

jak wyglądają kaskady i syfony podziemnej rzeki, jaka jest rola sławnego tunelu EDF? Kierownikiem wyprawy został Janusz Śmiełek, który tym samym awansował do czołówki najbardziej zajętych ludzi w Krakowie. Jednym z poważniejszych problemów okazała się sprawa sprzętu, który w większości trzeba było wyprodukować. Jego jakość odbiegała oczywiście od używanego na Zachodzie, ale był po prostu tani. Uczestnicy trenowali indywidualnie, zaś na wyjazdach do jaskiń tatrzańskich ćwiczone działania w zespołach. Uroczysty wyjazd z krakowskiego rynku był pierwszym sukcesem organizacyjnym.

Spodziewaliśmy się trudności i te okazały się znaczne, zaś pokonanie podziemnej rzeki przy ówczesnym sprzęcie wymagało odwagi i determinacji, jako że w pewnym momencie odwrót stawał się niemożliwy. W ogromnej sali Verna szumiał podziemny wiatr. Drogę wśród głazów zalegających dno znaczyliśmy taśmami odblaskowymi by nie pobłądzić. Kierownik uczestniczył w najważniejszych wejściach nadając im właściwy rytm i kontrolując przebieg akcji. Zachował się zapis magnetofonowy opowieści snutej przy ognisku, po przejściu ciągu wodnego. Oddaje on cały dramatyzm wydarzeń po awariach, a następnie utracie pontonu porwanego przez nurt.

Pireneje żegnaliśmy z ulgą pełni silnych doznań. Potem był Mont Blanc i szczęśliwy powrót do kraju.

W roku następnym Janusz kierował wyprawą do najgłębszej znanej wówczas jaskini Azji. Nazywała się Ghar Parau i leżała w górach Zagros w Iranie. Informacje o możliwościach eksploracyjnych zostały sprostowane, gdy przygotowania do wyjazdu były w końcowej fazie. Mimo niezbyt imponującej głębokości -751m, jaskinia okazała się ciasna i trudna, zaś poziom wody w końcowym syfonie uniemożliwił jego pokonanie bez specjalistycznego, nurkowego sprzętu. Kierownik podczas powrotu z dna uległ zatruciu pokarmowemu i wiele godzin spędził na biwaku zbierając siły do wyjścia. Podczas pobytu w górach odszukaliśmy wiele nie zbadanych jaskiń, z których najgłębsza brała swój początek na grani i liczyła 200 m głębokości. Przeciwnieństwa trapiące wyprawę powodowały konieczność podejmowania rozlicznych nietypowych działań. I wielką było zasługą Janusza, że potrafił zmobilizować do tych działań uczestników. W efekcie nie było żadnych konfliktów, a spóźniony o miesiąc przyjazd do kraju odbył się w dobrej atmosferze. Przyjaźnie zadziergnięte na tej wyprawie przetrwały próbę czasu i trwają do dziś.

Rok 1975 – wreszcie ulgowy wypad w Alpy Salzburskie. Cele sportowe zastąpiła działalność odkrywczą. Nebersbergkar, pusta, bezludna dolina okolona białymi skałami. Małe zespoły wyruszały rano, aby poszukiwać otworów jaskiń. W sumie zjechano do kilkudziesięciu awenów, zazwyczaj kończących się rumowiskiem lub korkiem śnieżnym. Ale w jednej jaskini – Rothohle - osiągnęliśmy głębokość 300 metrów.

Wieczory spędzano przy ogniu, a schodzący do sklepu miał obowiązek zbierania po drodze rydzów.

Janusz wybrał ten rejon mając nadzieję odnalezienia górnego otworu jaskini Lamprechtsofen. Otwór odkryto wiele lat później, zaś „Lampo” wysunęła się na pierwsze miejsce na liście najgłębszych na świecie. I do tej jaskini będzie Janusz wracał jeszcze nieraz, osiągając sukcesy eksploracyjne. Kolejny rok i kolejna wyprawa. W dziesięciolecie pierwszego wyjazdu do Gouffre Berger na plateau Sornin znów pojawiły się polskie namioty. W kilku przeprowadzonych zgodnie z planem akcjach wszyscy uczestnicy osiągnęli syfon końcowy. Sprawnie, bezpiecznie, szybko. Po kilku dniach szturmowano dno jaskini Monte Cuco w Umorii. W dobrych nastrojach i bez kłopotów większość uczestników zesłała na -922 m. Retransport i zwinięcie bazy przebiegały błyskawicznie, jako że w pobliskim Val di Ranco czekali gościnni Włosi i białe wino.

Zdobycie dwóch głębokich jaskiń w czasie jednej wyprawy w dwu różnych krajach w bardzo dobrym stylu to apogeum działalności „kierowniczej” Janusza. Warunki materialne zmusiły go do wyjazdu do Afryki. Wykładał w szkołach wyższych

w Maroku i Zairze. Z grotolazami z Casablanki wszedł do najgłębszej jaskini Afryki Kef Toghobeit, wspinał się też na najwyższe szczyty Atlasu.

Janusza Śmiałka poznałem na studiach. Spotykaliśmy się w Skałkach Twardowskiego, by wspinać się i ćwiczyć manewry linowe. Potem jeździliśmy w Tatry, często nocnym pociągami i nie przeszkadzało nam wcale, że podróż trwała długo. To Janusz namówił mnie do zainteresowania się jaskiniami, roztaczając perspektywy przyszłych odkryć. Zawsze pełen nowych pomysłów wyznaczał kolejne sportowe cele. Zawsze przyjazny, życzliwy, skory do żartów i kawałów. Odwiedzał mnie czasami w Nowym Sączu, lecz zawsze spieszył się gnany różnymi terminowymi sprawami.

Janusz bardzo poważnie traktował ideę niesienia pomocy w górach. Znał doskonale historię TOPR-u, po książki Zaruskiego i Żuławskiego sięgał wielokrotnie. Przyjęcie do grona ratowników było dlań wielkim przeżyciem. Już na pierwszym samodzielnym dyżurze na Hali Gąsienicowej stanął przed koniecznością podjęcia trudnych decyzji. Potem były inne, szczęśliwsze dyżury, akcje, także pod ziemią, szkolenia, tworzenie specjalistycznej grupy ratownictwa jaskiniowego, udział w sympozjach. Z nawału zajęć starał się wykroić na dyżury przynajmniej kilka dni w roku. Do służby ratowniczej chciał być zawsze dobrze przygotowany. Feralnego dnia wyszedł wcześniej rano, samotnie sprawdzić warunki na grani...

Żegnaj PRZYJACIELU.

Marek Marciszewski

Alpinista i dziennikarz

Juliusz Śląski

Nieżyjący już od 8 lat Juliusz Śląski był alpinistą i wieloletnim dziennikarzem polskich rozgłośni Radia Wolna Europa (RWE) i Głosu Ameryki i jednocześnie wielkim propagatorem problematyki wspinaczkowej (zwłaszcza polskich dokonań). Dzięki niemu w Radiu Wolna Europa, gdzie występował pod pseudonimem Hubert Grzymała, często było

więcej informacji o osiągnięciach polskich alpinistów i himalaistów niż w krajowych środkach masowego przekazu. Uważnie śledził prasę alpinistyczną, szczególnie niemiecką, wyławiając z niej dla radia wszelkie ciekawsze polonika. Przy szczególnie wielkich wydarzeniach poświęcał im większą część swego programu. O dokonaniach polskich

wypraw mógł obszerniej informować także dlatego, że mimo istnienia „żelaznej kurtyny” i, przypomniemy, traktowania przez władze polskie RWE za ośrodek szpiegowski, utrzymywał bliskie kontakty z niektórymi polskimi himalaistami, m.in. z Wandą Rutkiewicz i Andrzejem Zawadą. Z niektórymi chodził nawet po górach – po Alpach prowadził on np. Piotra Konopkę z Zakopanego, dziś znanego wspinacza, narciarza i przewodnika górskiego.

O skali zafascynowania Śląskiego górami świadczy dobrze to, że w radiu wykorzystywał każdą okazję do poruszania interesującej go tematyki. Nawet przeprowadzając miniwywiad ze świeżo wybranym Papieżem-Polakiem (a był podobno pierwszym dziennikarzem, który tego dokonał), zapytał o sprawy górskie. Miało to miejsce jeszcze przed inauguracją pontyfikatu. Gdy Karol Wojtyła w czasie audencji przechodził obok, zadał mu pytanie: „Czy Papieżowi wiadomo, że tego dnia, kiedy został wybrany, Rutkiewicz weszła na Mount Everest?”. Papież zatrzymał się wtedy przy nim na chwilę i odrzekł, iż wie o tym.

Juliusz Śląski urodził się 15 kwietnia 1920 r. w Broniszowie, niedaleko Kazimierzy Wielkiej. Przed wojną studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim i dziennikarstwo w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie. We wrześniu 1939 r. przekradł się przez zieloną granicę na Węgry, a w marcu 1940 r. został stamtąd przerzucony do Armii Polskiej we Francji. 16 czerwca 1940 r. w trakcie zwiadu bojowego został ranny i wylądował w szpitalu pod okupacją niemiecką, ale już w listopadzie tego roku uciekł ze szpitala i przedostał się do francuskiej strefy nie okupowanej, gdzie w latach 1941-1943 kontynuował studia prawnicze na Uniwersytecie w Grenoble. Wtedy też zapewne zainteresował się górami.

Po wkroczeniu tam Niemców uciekł przez Pireneje do Hiszpanii, skąd przedostał się do Anglii, gdzie przez władze wojskowe skierowany został na uniwersytet. Studiował w Oxfordzie m.in. politykę, antropologię i etnografię. Później był asystentem Wydziału Antropologii uniwersytetu w Londynie i pracownikiem International African Institute (w 1950 r. brał udział w wyprawie do Tunezji). W lipcu 1954 r. przeniósł się do Monachium, gdzie podjął pracę w radiu i aż do końca życia, przez ponad 35 lat, był dziennikarzem polskich rozgłośni radiowych

„Głosu Ameryki” i „Radia Wolna Europa”. Był członkiem monachijskiego oddziału Alpenverein.

Góry były jego prawdziwą pasją. Spędzał w nich każdy wolny czas. Był zapalonym alpinistą i narciarzem. W czasie weekendowych wypadów w Alpy dokonał wejść na setki szczytów zarówno latem jak i zimą. Jeździł po całym ich terenie, a odwiedzając kolejne alpejskie masywy zazwyczaj wychodził też na najwyższe ich wierzchołki. Wśród Polaków był chyba najlepszym praktycznym znawcą Alp.

Juliusz Śląski nie był „łowcą” ani „kolekcjonerem” alpejskich czterotysięczników, zdobywał je niejako przy okazji. Dlatego też dopiero niedługo przed śmiercią zorientował się, że do pełnego (i to w wersji bogatszej, tej liczącej blisko setki) zestawu alpejskich szczytów przekraczających 4000 m, brakuje mu wejścia na kilka zaledwie (może nawet tylko 2 czy 3), wierzchołków.

Wędrował nie tylko po Alpach, ale i po wysokich górach pozaeuropejskich. Niektóre z jego zdobyczy są zapewne pierwszymi polskimi wejściami. Na takie dalsze wyjazdy poświęcał urlopy. Wspiął się w górach Afryki, m.in. w Atlasie Wysokim (dokonał tam narciarskich wejść na pięć szczytów czterotysięcznych, w tym na Tubkal – 4165 m), w Semen w Etiopii (wyszedł m.in. na ich najwyższy szczyt – Ras Daszan – 4620 m), w Ahagger w Algierii (był m.in. na szczytach Tahat – 2918 m i Teroviag Sud – 2720 m). Był też na Uhru Peak – najwyższym wierzchołku Kilimandżaro (5895 m), w Himalajach (m.in. na Island Peak – 6100 m) i w Andach (w Ekwadorze np. był na Chimborazo – 6310 m), Cotopaxi – 5897 m i Illiniza – 5305 m), a także w górach Turcji (na Araracie – 5122 m) i Iranu (na Demawendzie – 5604 m) i Meksyku.

Juliusz Śląski zginął w górach, po których mimo wieku (miał już ukończonych 70 lat), nadal regularnie się wspiął. 15 lipca 1990 r. ok. 11³⁰ w czasie zejścia ze – znajdującego się we włoskiej części Alp Kotyjskich, u źródeł Padu, niedaleko miejscowości Crissolo – szczytu Monte Viso (3841 m), podczas trawersowania stromego żlebu poślizgnął się na zlodowaciałym płacie śniegu i spadł 300 metrów ponosząc śmierć na miejscu. Ciało jego sprowadzono do kraju i pochowany został na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie.

Wojciech W. Wiśniewski

KURTKI

Nieprzemakalne? Bardzo dobrze. Oddychające? Nieźle. Lekkie? Coraz lepiej. Kurtki górskie często są drogie, ale profesjonalne. Każdego roku pojawiają się nowe technologie „nieprzemakalno-oddychające”.

Chcemy, aby były szczelne i przeciwwiatrowe jakby woskowane, oddychające jak żagiel, lekkie, giętkie i solidne. Górny rejon gamy różnych marek raczej nieźle odpowiada tym wymaganiom dzięki „barierom” nieprzemakalno-oddychającym. Nowe produkty współzawodniczą dziś z membraną gore-texu. Producenci walczą o oddychalność, lekkość i giętkość, gwarancje życia, ceny, a nawet o miękkość w dotyku. Można zauważyć powrót firmy Francital obok „świętych olbrzymów”, takich jak Patagonia, Millet, Eider, The North Face, Mac, Lowe i innych.

System trzech warstw

Czego wymagamy dziś od kurtki, prostej lub ściągniętej w pasie, górskiej, przeznaczonej na wspinaczkę, lodospady, wędrowki narciarskie i wysokogórskie? Całkowitej ochrony przed deszczem, śniegiem i wiatrem przy jednoczesnej możliwości usuwania potu z powierzchni ciała. Co nie przeszkadza się pocić! Są to tkaniny nieprzemakalno-oddychające. A ciepło? Ubranie nie jest ciepłe samo z siebie. Jego rola polega tylko na uniemożliwieniu uciekania ciepła, które ciało produkuje w sposób naturalny. Ponieważ powietrze jest najlepszym z możliwych izolatorów, materiały nadmuchane (a więc wypełnione powietrzem) mają najbardziej „termiczne” cechy. Ale potrafią zawadzać.

Dlatego klasyczne już stało się stosowanie podczas akcji górskich systemu trzech warstw, które jednocześnie są giętkie w użyciu i zapewniają ochronę przed zimnem. Za pierwszą warstwę, przy skórze, służy podkoszulka z wygodnego syntetyku, druga warstwa to tkanina grubsza (polar, nawet puch) i trzecia warstwa kurtka przeciwwiatrowa nieprzemakalno-oddychająca. Ideałem jest zasto-

sowanie warstw o cechach porównywalnych, to znaczy na przykład takich, które nie będą przeszkadzać w przenikaniu potu. Dlatego bawełna nie jest zalecana jako warstwa pierwsza, gdyż zatrzymuje wilgoć.

Jeśli wymagamy od kurtek całkowitej ochrony, to również umożliwienia nam swobody ruchów, lekkości i niezniszczalności. Tutaj właściwą rolę odgrywa indywidualna potrzeba użytkownika. Kurtki alpinistyczne mają wzmocnienia na ramionach i łokciach i są z mocnej tkaniny, która waży więcej niż prosta nieprzemakalna kurtka. Niektórzy wolą postawić na kartę lekkości i całkowitej swobody ruchów przy wspinaczce. Mamy zatem do wyboru między solidnością a minimum wagi. Z technicznego punktu widzenia największe zdolności respiracyjne tkaniny nie idą w parze z maksimum nieprzemakalności.

Podsumowując, idealna kurtka chroni przed czynnikami zewnętrznymi, nie gromadzi potu wewnątrz, jest lekka, zapewnia swobodę ruchów, nie zajmuje wiele miejsca, jest łatwo upychalna i posiada masę szczegółów konstrukcyjnych zwiększających komfort (zamek nie zacinający się, praktyczne kieszenie, regulowany kaptur nie ograniczający pola widzenia i pozwalający włożyć kask, itp.).

Tkaniny wysokotechniczne

Nylony i inne materiały, słowem wszystkie tkaniny, z których robi się dziś zewnętrzne warstwy kurtek ściągniętych w pasie, są mocne i nieprzemakalne dzięki apreturze, którą od czasu do czasu trzeba odnawiać. Dodaje się do nich membranę lub powłoczenie nieprzemakalno-oddychające. Zgrzewane szwy gwarantują całkowitą nieprzepuszczalność. Podczas gdy testowanie i obliczanie szczelności jakiejś tkaniny (test prysznic, współczynnik Schmerbera) nie sprawiają kłopotów, trudno jest określić oddychalność ubrania.

W tej dziedzinie może jeszcze nastąpić postęp. Nie zapominajmy, że właściwości tkaniny ulegają

zmianie pod wpływem czynników zewnętrznych: ilości wydzielanego potu, u każdego innej, temperatury zewnętrznej i stopnia wilgotności oraz typu odzieży noszonej pod kurtką. Trzeba też wiedzieć, że przenikanie pary wodnej na zewnątrz zachodzi dzięki różnicy ciśnień między powietrzem będącym blisko ciała (ciepłe i wilgotne) a zimniejszym powietrzem otoczenia.

Coś z atmosfery równikowej? Intensywność zjawiska maleje, gdy ciśnienia są identyczne. Nieprzemakalność czy oddychalność? Kurtkę bardzo oddychającą, lecz nieco mniej nieprzemakalną przeznaczamy na intensywny wycieczki (na przykład narciarstwo biegowe lub lodospad), natomiast maksymalnie nieprzemakalną na kanioning lub wycieczkę pieszą. Konstrukcja trójwarstwowa (tkanina + membrana + dublura) jest solidniejsza, bardziej nieprzemakalna, lecz cięższa i mniej oddychająca. Konstrukcja dwuwarstwowa (tkanina + membrana) jest bardziej giętka, lżejsza i lepiej oddychająca.

Bariera nieprzemakalno-oddychająca

Tkanina ubraniowa bywa na ogół porowata, co umożliwia przepływ powietrza i nie zatrzymuje długo deszczu lub wiatru. Trzeba ją dopiero uczynić nieprzemakalną, tzn. zatkać „dziury” (przestrzeń między włóknami tekstylnymi). Jest to dość łatwe. Lecz aby jednocześnie umożliwić przenikanie pary wodnej z powierzchni ciała na zewnątrz, należało wynaleźć nowy sposób powlekania.

Pierwsza rewolucja nastąpiła wraz z zastosowaniem membrany goretexu – membrany mikroporowatej, to znaczy mającej minidziurki, które przyklejano na tkaninę. Te dziurki są 20 000 razy mniejsze od kropli deszczu (woda nie wchodzi), ale 700 razy większe niż molekula pary wodnej (para wodna wychodzi). Można też użyć membrany zwartej bez dziurek, jak sympatex, w której przenikanie pary zachodzi dzięki innemu zjawisku. Można uciec się do molekularnego zjawiska chemicznego zachodzącego między cząsteczkami pary wodnej i do struktur molekularnej powłoki, produkowanej często na bazie poliuretanu (PU). Te ostatnie uczyniły wielki postęp w ostatnich latach. Co roku pojawiają się na rynku nowe technologie.

Lowe Alpine, marka o nastawieniu bardzo technicznym, zachwala swoją powłokę *Triple Point Ceramic*, Francital swoją membranę *MP+*, Patagonia swoją powłokę *H2NO* itd. Zaznaczmy również pojawienie się membrany francuskiej *Proline* używającej PU (poliuretanu) zamiast *PTFE* (polytetrafluoretylenowej) goretexu.

Przykłady powłok

Omni-tech (Kolumbia) używa tkaniny żaglowej – 100% nylonu z wyściółką z mikrofibry nylonowej wyprodukowanej tak, aby mogła wchłaniać powłoczenie składające się z żywicy mikroporowatej i warstwy mikroporowatego polyuretanu. Waga: 87 g/m², nieprzemakalność: 5000 mm/min, deperlacja: 100% przy nowym materiale, 80% po 10 praniach.

Triple Point Ceramic (Lowe Alpine): powłoka całkowicie nieprzemakalna i oddychająca skonstruowana z mikrocząsteczek ceramicznych i żywicy poliuretanowej mikroporowatej o uszczelnionej powierzchni. Kropla wody (średnicy 100) nie może przedostać się przez mikrodziurki ceramiczne o średnicy 0,1. Natomiast mogą to uczynić molekuly pary wodnej (pot), które mają 0,004 średnicy. *Triple Point Ceramic 1600*: bardzo solidny, 20 000 w skali Schmerbera, zdolność oddychania 65%. *Triple Point Ceramic 1200*: bardzo giętka, 10 000 w skali Schmerbera, zdolność oddychania 87%.

Texapore (Jack Wolfskin): powłoka z poliuretanu użyta w dwóch lub trzech warstwach na tkaninę z Taslanu lub nylonu Ripstop.

Inne, nie opisane firmy to: Compagnie des Guides, Mammout, Mello's, Salewa.

Przykłady membran

Goretex: najbardziej znana. Jest to polytetrafluoretylenowa lub teflon, rozciągnięta, o średnicy 0,025 mm grubości, mająca mikrodziurki (pory) o średnicy 0,2. Krople deszczu są 20 000 razy większe i nie mogą przejść przez tkaninę. Pranie w pralce w temperaturze 40°C, podwójne wykręcanie, łagodny proszek, bez zmiękczacza. Po 10 praniach zaimpregnować na nowo tkaninę zewnętrzną produktem uszczelniającym powierzchnię, np. Edelrida. Uwaga: nie wpinać szpil, agrafek i znaczków, można porwać membranę.

Microquartz (Bermudy). Nowość. Membrana laminowana na Taslanie lub Ripstopie. Nieprzemakalność: 8 000 mm wg Schmerbera (przez 8 godzin, przy 65% wilgotności i temp. 20°C). Oddychalność: 3680 g/m²/24 godz.

MP+ (Francital). Nowość. Bardzo elastyczna membrana, która zachowuje całą giętkość materiału. Tkanina z membraną *MP+* ma wg Schmerbera nieprzemakalność powyżej 10 000 mm, oddychalność przy 23°C i 65% wilgotności: 4500 g pary wodnej/m²/24 godz. i przepuszcza 88% pary wodnej, która przeniknęłaby przez zwykłą tkaninę (bez membrany i powłoki).

Sympatex (Decathlon). Oryginalna technologia i przydatność *Akzo Nobel* rzucony na rynek w 1986 roku. Membrana w 100% poliestrowa użyta jako laminat lub jako wkładka. Cienka (10 grubości) i lekka (20 gramów w jednej kurtce), bardzo elastyczna. Bez porów, nie ma obawy, że się zatka.

Dermizax (Big Pack). Membrana nadzwyczaj lekka i elastyczna, nieprzemakalność 10 000 wg Schmerbera, oddychalność przy 2 warstwach 8000 g pary wodnej/m²/24 godz., przy 3 warstwach: 5000 g pary wodnej/m²/24 godz. Połączona z nylonem Ripstop, jest lekka jak piórko.

Słowniczek profesjonalistów

Dwie i trzy warstwy

Membrana laminowana trójwarstwowa dla modeli wyrafinowanych technicznie: przypomina kanapkę oklejona z jednej strony zewnętrzną warstwą tkaniny, z drugiej podbiciem. Wysoki stopień wytrzymałości na tarcie i rozdzieranie. **Membrana laminowana dwuwarstwowa**: podklejona tylko z jednej strony tkaniną zewnętrzną, warstwa podbicia jest wolna. Bardziej elastyczna niż trójwarstwowa, wytrzymała.

Szwy zgrzewane lub klejone na gorąco: oklejenie na gorąco taśmą z tkaniny chroni przed przenikaniem wilgoci. Jakież sens miałyby nieprzemakalność tkaniny, gdyby szwy puszczały wodę?

Impregnacja: powłoka teflonowa lub silikonowa na tkaninie powoduje, że woda deszczowa łatwo spływa po powierzchni zamiast wnikać do wnętrza materiału. Chroni przed zaplaniem. Wytrzymuje 20 prań.

Goretexs: membrana amerykańskiego stowarzyszenia Gore, pionierka wśród tkanin mikroporowatych. Stosowana zarówno w relacji dwu-, jak i trójwarstwowej, w *Z-Liner* jest „wolna”, pływa między warstwą zewnętrzną tkaniny a podbiciem, uzyskano w ten sposób dużą giętkość. W *Light* przyklejona do podbicia, tkanina zewnętrzna pozostaje swobodna i podnosi doskonałość techniczną produktu

Kevlar: włókno paraaramidowe, solidne, odporne na ścieranie. Używane do wzmacniania tkaniny.

Laminowany: klejony, określa się w ten sposób naklejanie membrany mikroporowatej na tkaninę.

Membrana: film (cienka tkanina) syntetyczny wsunięty (wkładka) między dwie warstwy tkaniny (tkanina zewnętrzna i podbicie) lub przyklejony (laminowany) do tkaniny. Zatrzymuje wodę i wiatr, ale przepuszcza parę wodną wydzielaną przez

organizm. Marki: Gore-Tex (najbardziej znana), Sympatex, Thinsulate, MP+, Entrant, Microquartz itd.

Mikroporowatość: tkanina jest cała „podziurkowana” miniotworkami (mniejszymi np. od bakterii).

Poliuretanowy: lub PU, powłoka mikroporowata, oddychająca i nieprzemakalna.

Schmerber: wskaźnik wodoszczelności obliczony pod ciśnieniem słupa wody. Np. Schmerber 2000 oznacza, że tkanina zachowuje nieprzemakalność pod ciśnieniem słupa wody wysokości 2000 mm (2 m).

Polyamid: zob. nylon.

Ripstop: bardzo solidny i lekki nylon (polyamid). Widać na tkaninie siateczkę z kwadratowych oczek. Służy ona za ochronę przed rozdzieraniem. 104 g/m².

Oddychalność: wartość ta wynosi dla firanki 100%, a dla woreczka nylonowego – 0%.

Taslan: nylon (polyamid) przypominający bawełnę, klasyczny wyczynowiec, 130 g/m².

Wspólne cechy opisywanych kurtek:

Materiały trójwarstwowe:

1) Podbicie z nylonowej „siateczki” dla rozproszenia wilgoci i ochrony membrany.

2) Membrana lub osłona mikroporowata.

3) Tkanina zewnętrzna – nylon bardziej lub mniej elastyczny i lekki, może być nawet płótno z 40% zawartości spi.

Szwy:

Wszystkie kurtki mają szwy zgrzewane (lub klejone na gorąco), podwójne zapięcie na zamek błyskawiczny pod podwójną klapą ochronną z zatraskami, kaptur sztormowy (z regulacją zasięgu pola widzenia i głębokości), tasiemki ściskające w pasie, przy szyi i u dołu kurtki, zamki błyskawiczne pod pachami (bardziej lub mniej obszerne), regulację dołu rękawów na rzepy (elastyczne lub nie), zewnętrzne kieszenie (2 lub 4, skośne lub poziome) i 1 kieszeń wewnętrzną.

Kurtki alpinistyczne mają wzmocnienie na ramionach, często także na łokciach.

Drobne szczegóły, jakże ważne

Ściągacz przy kapturze umożliwiający regulację pola widzenia. Tasiemka przy uchwytach zamków błyskawicznych ułatwia obsługę nawet w rękawiczkach. Łokcie skrojone łukowato dla wygody. Elastyczny rzep w dole rękawów. Podbicie przy szyi z delikatnej i ciepłej tkaniny.

Tłumaczenie z *Alpinisme & Randonnée* N° 195
Magdalena Kapetuś



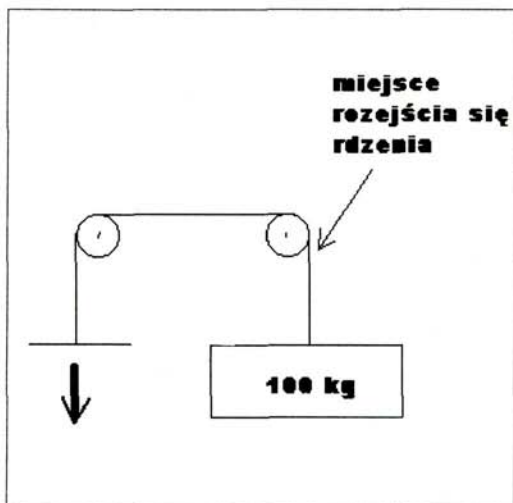
Listy

Kewlar pęka

Szanowni Koledzy!

(...) Na początku tego roku zakupiliśmy do firmy kewlar średnicy 5,5 mm firmy Beal. Został on zamontowany w urządzeniu kulturowym – za jego pomocą był unoszony statycznie ciężar maksimum 100 kg (...) poprzez dwa kółka o średnicy około 10 cm. Po kilku dniach zauważyłem rozejście się rdzenia linki – bez jakiegokolwiek naruszenia opłotu. Problem wystąpił ponownie tydzień temu na tym samym urządzeniu. Było to jedyne urządzenie, na którym pracował kewlar – nie ma mowy o jakichkolwiek ostrych brzegach, wszystko jest maksymalnie gładkie. Jedyna możliwość jaka mi się nasuwa, to duża ilość naprężeń w tym punkcie w trakcie unoszenia ciężaru. Ale gdy ten ciężar porównać do dynamicznego uderu na cięgło od np. kostki lub pętli z kewlaru, to zaczyna się rysować niemiła sytuacja, jeśli nie horror po prostu. Niestety, mimo że informowałem o tym przedstawiciela Beala w Polsce, jak i wysłałem sam kewlar, to do dnia dzisiejszego nie doczekałem się odpowiedzi (...) dlaczego tak się dzieje (może 8 miesięcy to za mało?). No cóż, (...) kim jest zwykły grotołaz wobec takich firm jak... przedstawiciel Beala. (...).

Darek Lerner



A oto uzyskana przez nas opinia Andrzeja Ciszewskiego (przedstawiciela Beala):

Opisany powyżej przypadek jest prawdopodobnie konsekwencją nietypowego zastosowania opisywanej linki. Ze względów technicznych nie jest możliwa produkcja włókien kewlarowych o średnicy analogicznej do włókien nylonowych. Implikuje to inną konstrukcję rdzenia lin kewlarowych i ich generalnie znacznie mniejszą odporność przy ciągłej pracy na wszelkiego typu przełamaniach w zestawieniu z linami nylonowymi. Powyższy przypadek jest zapewne ilustracją tego problemu. Linka wykonała wiele cykli pracy na kółku o stosunkowo niewielkiej średnicy. Lepszym rozwiązaniem byłoby w tym przypadku zastosowanie linki z tworzywa o podobnych parametrach wydłużeniowych, np. dyneema, w przypadku którego nie występują negatywne zjawiska związane z użyciem kewlaru.

Puszka na Kaczorze

Od 14 października na skale Kaczor w Podzamczu znajduje się puszka z kartkami do wpisów wyjść na tę efektywną i dość trudno dostępną turnię (pod względem wspinaczkowym i przepisowym, bo wspinanie na skałach w murze zamku jest zabronione). Umieściłem ją tam z kolegą wspinając się lewym skrajem płd. ściany – A1 (odhaczenie VI). Czekamy na kolejne powtórzenia, szczególnie trudnych dróg hakowych J. Kukuczki A3 ?e i Z. Wacha A3 5e.

P.

Osoby interesujące się czasopiśmiennictwem górskim i kolekcjonujące archiwalne wydania krajowych gazet, biuletynów i broszur, tak jak Janusz Badura (zob. „Taternik” 3/98 s. 38), warto odesłać do wykazu polskich czasopism taternickich i speleologicznych za lata 1945-1991, opracowanego przez Wojciecha W. Wiśniewskiego i opublikowanego w „Wierchach” (tom 57 (1988-91) s. 284-286.) Pomocna może być też lektura pracy Jerzego W. Gajewskiego „Polskie czasopiśmiennictwo górskie w latach 1945-1983”, wydana w 1986 r. nakładem Instytutu Turystyki w Warszawie.

(wj)



Jaskinie i speleologia

Sardynia '98 – polskie graffiti

W tym roku spędziłem część urlopu wraz z rodziną na Sardynii. Jako że nie znoszę leżenia plackiem na plaży, postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym – czyli nurkowanie i grotty. O walorach nurkowania w ciepłych morzach rozpisywać się nie będę: bajecznie kolorowe ryby, zabawy z ośmiornicami, kalmarami i przede wszystkim wyjątkowa przejrzystość wody.

Drugim etapem wyjazdu miało być odwiedzenie kilku jaskiń w dolinie Lanaitto, w pierwszym rzędzie Eliges Artes oraz Su Bentu. Do samej doliny dostaliśmy się bez problemu, zawiezieni na samo miejsce przez czynnego Sarda. Załatwił on nam także nocleg w bazie speleoklubu z Olieny. Następnego dnia pojawił się Maurizio Giobbe – przemysłowy kierownik bazy. Przywiózł nam melony oraz napoje pomagające w przełamaniu barier językowych.

Niestety, dla nas część tego, co mówił Maurizio była bardzo przykra. Kiedy dowiedział się, że jesteśmy z Polski, poprosił nas, żebyśmy niczego nie pisali na ścianach tamtejszych jaskiń. Oburzeni oświadczyliśmy, że nigdy tego nie robimy. W odpowiedzi opowiedział nam historię sprzed ośmiu lat. W 1990 r. w jaskiniach tego rejonu działała ekipa grotłazów z Katowic. Kręcili film dla programu 2 TVP (tak przynajmniej podali). W jednej z najbardziej znanych jaskiń – Su Palu, w miejscu zwanym Marmitta Pozzo Oliena, pozostawili na ścianie wielki napis „Katowice”.

Szkoda, że tak piękne miejsca są niszczone przez wandalów. Tym bardziej przykre, gdy są oni Polakami.

Dariusz Lermer

XXXII Sympozjum Speleologiczne

Doroczne, ogólnopolskie spotkanie badaczy krasu, XXXII Sympozjum Speleologiczne odbyło się tym razem koło Opola – w Zamku w Kamieniu Śląskim, w dniach 23-25 października 1998 r. Zorganizowane zostało przez Sekcję Speleologiczną Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika i Instytut Nauk Geologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego, a głównym organizatorem był dr Adam Szynekiewicz. Sympozjum dotowane było przez Komitet Badań Naukowych (przy którego pomocy wydane zostały materiały sympozjalne, zawierające skróty referatów i przewodnik sesji terenowych) oraz przez Śląskie Zakłady Przemysłu Wapienniczego OPOLWAP SA i Zakłady Cementowo-Wapiennicze GÓRAŹDŹE SA.

Tematyką sympozjum był kras w wapieniach triasu opolskiego. Po otwarciu obrad przez przewodniczącą Sekcji Speleologicznej – profesora Jerzego Głazka, wygłoszono w sumie 30 referatów i komunikatów. W czasie sesji terenowych omawiane były utrudnienia w eksploatacji wapieni triasowych spowodowane występowaniem zjawisk krasowych oraz sposoby rekultywacji terenu w kamieniołomach Zakładów Górniczych: Góraźdże, Tarnów Opolski i Strzelce Opolskie.

Chociaż w czasie sympozjum nie odwiedzano jaskiń (nie ma ich prawie na tym terenie), wieczorami odbywały się prezentacje przezroczy z tegorocznych wypraw jaskiniowych. Oto tematy niektórych wystąpień: Andrzej Tyc przedstawił „Kras klasyczny Słowenii”, Ditta Kicińska „Hoher Göll – Austria '98”, Halina i Henryk Zyzanścy „Austria '98 – działalność Speleoklubu Bobry w Tennengebirge Ost”, a Krzysztof Recielski „Jaskinie masywu Kitzsteinhorn (Wysokie Taury)”. Nie zabrakło prezentacji najnowszego światowego rekordu Polaków:

1632 m głębokości w jaskini Lamprechtsofen. Uczestnik wypraw do tej jaskini – Krzysztof Reciel-ski w wystąpieniu „Lamprechtsofen najgłębszą jaskinią świata” przedstawił historię eksploracji i szczególnie ostatnich polskich osiągnięć.

W symposium uczestniczyło blisko 50 osób.

Regina Kardaś

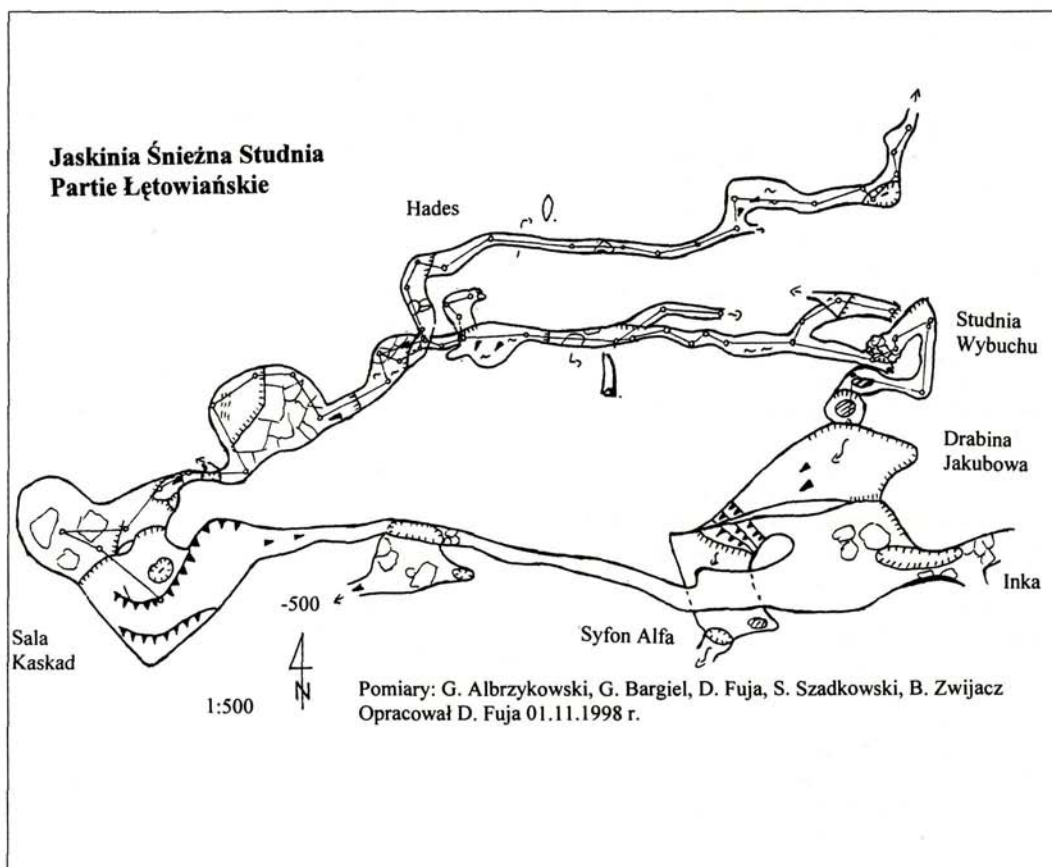
Odkrycia w Śnieżnej Studni

Jaskinia Śnieżna Studnia to dziura, która naprawdę zaczyna się od -500, ten pogląd potwierdza wiele osób. Przykładem tego są nowo odkryte Partie Łętowiańskie. Zaczynają się z Sali Kaskad i biegną nad Korytarzem nad Studniami aż do Drabiny Jakubowej. Partie te to ciąg ciasnych, błotnistych szczelin niekiedy rozszerzających się do rozmiarów niewielkich salek. Dolny korytarz pokryty jest wodnistą mazią składającą się głównie z błota. Górny zaś jest suchszy, można by porównać go do rejonu III Biwaku, ale tylko pod względem suchości błota. Zachodnia część zwana Hadesem

przypomina początkową, nieprzyjemną Wielką Szczelinę. Połączenie tychże korytarzy to 15-metrowy kominiek pokryty około centymetrową warstwą blocka. Drugie połączenie to ciasna szczelina nad Jakubową Drabiną. Partie Łętowiańskie łączą się ze znanymi ciągami przez myte, obszerne kominy. Łącznie z salą Kaskad to prawie 40-metrowy komin przedzielony dużą półą. Stąd korytarzykiem przechodzimy do kolejnego komina – mniejszego, u dołu częściowo zawałonego blokami. Połączenie z Drabiną zaś jest możliwe dzięki Studni Wybuchu. Studnią tą leje się ciek wodny, tworzący kałuże, jedna z nich to Sadržawka Topielców. Sadržawka o średnicy około 2 metrów jest bardzo głęboka. Sprawdzanie głębokości nastąpiło niespodziewanie i w sposób dość niekonwencjonalny. Po prostu jeden z eksplorujących wpadł po szyję i nie dotknął dna (a jest wysoki). Ciągi te mierzą sobie 300 m.

Eksplorowali je członkowie ST Zakopane: G. Bargiel, G. Albrzykowski, B. Zwijacz, S. Szadkowski. Chciałbym im podziękować za to, że znosili wszelkie trudy i obecność D. Fui.

Dariusz Fuja
ST Zakopane



Wieści organizacyjne

Walny Zjazd Delegatów Klubów i Sekcji Taternictwa Jaskiniowego PZA

Już po raz trzeci z rzędu obrady odbyły się na Cyrhli. Reprezentanci środowiska liczącego 20 zrzeszonych w PZA klubów oraz 2 sekcji przy Klubach Wysokogórskich obradowali w dniach 14 – 15 listopada 1998 r. Po zagajeniu przez przewodniczącego ustępującej Komisji Taternictwa Jaskiniowego – Andrzeja Ciszewskiego, dokonano wyboru prezydium Zjazdu. Od tej pory obradom przewodniczył Olgierd Jokiel, wspierany przez Dittę Kicińską i Jacka Poszepnego. Szefem Komisji Wnioskowej został Dariusz Lermer, a pracami komisji roboczych kierowali: Marek Wierzbowski (szkolenie, sprzęt i bezpieczeństwo), Andrzej Ciszewski (sprawy tatrzańskie) i Rajmund Kondratowicz (wyprawy i kontakty zagraniczne). Po wysłuchaniu sprawozdania, na wniosek Komisji Rewizyjnej PZA reprezentowanej przez Aleksandra Chrusciela udzielono ustępującej KTJ absolutorium. Najważniejszym wątkiem dyskusji nad sprawami szkolenia było wprowadzenie jego pośrednich etapów pomiędzy uzyskaniem karty taternika a zdobyciem stopnia instruktorskiego. Przypominano też konieczność dalszych starań o zmianę przestarzałego zarządzenia o uprawianiu alpinizmu. Problemami rozważanymi w ramach tematyki tatrzańskiej było utrzymanie czystości jaskiń, zakres osadzania stałych punktów asekuracyjnych, propozycje zmian na liście jaskiń udostępnionych na terenie TPN oraz utrzymanie bazy tatrzańskiej dla taterników jaskiniowych (obozowisko na Polanie Rogoźniczańskiej, możliwości uzyskania obiektu czynnego przez cały rok). Najmniej dyskusji wzbudziła tematyka wyprawowa. Podkreślono, że tereny krasowe Austrii w dalszym ciągu są najważniejszym dla nas obszarem eksploracyjnym i należy dokładać wszelkich starań dla utrzymania się na nim, równocześnie nie zaniedbując poszukiwań nowych kontaktów i celów. Apelowano też do zebranych o zasilanie materiałami internetowej strony Sopotckiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego, dla uczynienia jej wizytówką naszego środowiska.

Zjazd dokonał wyboru nowego składu Komisji Taternictwa Jaskiniowego PZA na kolejną trzyletnią kadencję. Ukonstytuowała się ona pod przewodnictwem Andrzeja Ciszewskiego, powierzając funkcje wiceprzewodniczących Agnieszce Gajewskiej i Michałowi Gradzińskiemu, a pozostałym członkom następujące zakresy kompetencji: sprawy

nurkowań jaskiniowych – Wiktorowi Bolkowi, szkolenia – Markowi Wierzbowskiemu, tatrzańskie – Przemysławowi Włoskowi. Do Komisji Rewizyjnej PZA postanowiono zgłosić kandydaturę Piotra Słupińskiego.

R.K.

IX Walny Zjazd Delegatów PZA

Szybko minęły trzy lata kadencji Zarządu i delegaci klubów zrzeszonych w Polskim Związku Alpinizmu spotkali się na kolejnym Zjeździe. Odbył się on 28 i 29 listopada 1998 roku na Cyrhli w pobliżu Zakopanego. Zjazdowi przewodniczył tradycyjnie Janusz Fereński, a pomagali mu wiceprzewodniczący: Agnieszka Gajewska i Marek Zierhoffer. Po wygłoszeniu sprawozdania przez ustępującego prezesa Leszka Cichego i długiej dyskusji, stary Zarząd otrzymał absolutorium olbrzymią większością głosów. Podczas dwudniowych obrad najwięcej czasu poświęcono działalności Komisji Sportowej. Nie przez wszystkich była ona dobrze oceniana. Większość zarzutów dotyczyła faktu, że środki finansowe były w znacznej części rozdzielane przez członków tejże Komisji na własne wyprawy. Różnie też oceniano osiągnięcia sportowe w ciągu minionych trzech lat. Z jednej strony UKFIT uhonorował nas 28 nagrodami, wielkie sukcesy odnieśli speleolodzy i wspinacze panelowi, z drugiej brakowało liczących się wejść w górach najwyższych. Jeden z zabierających głos, wybitny alpinista średniego pokolenia, powiedział wprost – „20 lat temu robiliśmy to samo co robi się dziś, obecnie wchodzenie na 8-tysięczniki normalnymi drogami nie jest żadnym osiągnięciem”. W dyskusji wyrażano opinie, aby raczej w niedalekiej przyszłości zająć się „pracą od podstaw” i promować działania mające na celu wyłonienie większej grupy dobrych wspinaczy i alpinistów, a nie wydawać pieniądze na drogie wyprawy skierowane na mało ambitne cele.

IX Zjazd do nudnych nie należał. Wielkich emocji dostarczały wybory prezesa. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów było dwóch kandydatów na to stanowisko: Leszek Cichy i Wojciech Świącicki. Obaj uzyskali rekomendację Komisji Matki, obaj byli też doskonale znani zjazdowej społeczności. Ich wystąpienia wzbudziły duże zainteresowanie. W głosowaniu okazało się, że obaj zyskali poparcie jednakowej liczby delegatów, po 24 głosy. Ważnych głosów było 51, trzech delegatów nie popierało żadnego z kandydatów. Po ogłoszeniu wyników Wojciech Świącicki sam wycofał swoją kandydaturę na rzecz, jak się wyraził, „świeższego kandydata” Rozwiązywało to wprawdzie problem prezesury, ale nadal otwarta pozostawała sprawa składu przyszłego zarządu. Dzięki osobistym zabiegom kilku bardzo znaczących



Leszek Cichy i Wojciech Świącicki w chwilę po ogłoszeniu wyników głosowania — 24 do 24.

Fot. A. Kłos

w polskim alpinizmie postaci (m.in. A. Zawada i J. Majer), które nakłaniały Leszka i Wojtka do podjęcia wspólnej pracy dla dobra Związku, przeważały nad dwoma niedawnymi rywalami prowadzone w obecności przewodniczącego Komisji Rewizyjnej Leszka Dumnickiego doprowadziły do ustalenia wspólnej listy nowego zarządu.

Przed głosowaniem odbyła się burzliwa dyskusja nad składem zarządu, zgłoszono też kilka kandydatur z sali. Docieklivość jednego z delegatów doprowadziła do wykreślenia z listy kandydatury A. Lwowa, który jak się okazało nie był członkiem żadnego z klubów zrzeszonych w PZA, a więc z oczywistych powodów nie mógł zasiadać w zarządzie organizacji do której formalnie nie należy.

Wyniki głosowania potwierdziły nastroje sali. Leszek Cichy został ponownie prezesem otrzymując 43 głosy, natomiast Wojciech Świącicki zachował godność wiceprezesa otrzymując 42 głosy. Do nowego zarządu PZA weszli.

Leszek Cichy – prezes

Piotr Drobot
Sławomir Ejsymont
Agnieszka Gajewska
Rafał Kardaś
Andrzej Kłos
Maciej Pawlikowski
Stanisław Piecuch
Adam Potoczek
Andrzej Sobolewski
Wojciech Świącicki
Hanna Wiktorowska
Marek Zierhoffer

Komisja Rewizyjna

Leszek Dumnicki
Andrzej Makarczuk
Andrzej Piekarczyk
Piotr Słupiński
Andrzej Zawada

Sąd Koleżeński

Marcin Bibro
Janusz Fereński
Marek Grochowski
Janusz Majer
Bogumił Stama

Po pierwszym zebraniu Zarządu 9 grudnia 1998 roku znany jest już ogólny obraz nowych władz PZA. Prezes Leszek Cichy, wiceprezes urzędujący Wojciech Świącicki, wiceprezes od spraw KTJ – Agnieszka Gajewska. Zmianom uległa również liczba Komisji, niektóre zmieniły też zakres pracy. Komisja Szkolenia, przewodniczący – Rafał Kardaś, Komisja Wspinaczki Sportowej – przewodniczący Piotr Drobot, Komisja Skalkowa – przewodniczący Sławomir Ejsymont, Komisja Tatrzańska – przewodniczący Andrzej Sobolewski, Komisja Wypraw i Wyjazdów Górskich (dawniej Sportowa) – przewodniczący Adam Potoczek, Komisja Bezpieczeństwa – przewodniczący Andrzej Kłos. Nie miała jeszcze zatwierdzonej nazwy podkomisja mająca zajmować się obozami unifikacyjnymi, mniejszymi wyjazdami, aktywizacją młodych wspinaczy i całego środowiska. Jej szefem jest Sławomir Ejsymont. Bez zmian pozostaje stanowisko sekretarza generalnego, piastuje je Hanna Wiktorowska. Skarbnikiem jest, też od kilku kadencji, Andrzej Sobolewski.

Pełne składy komisji zostaną podane w kolejnym numerze „Taternika”.

Sprostowanie

**Czyli „Nie w Moskwie,
a w Leningradzie,
nie samochody, a rowery...”**

W poprzednim numerze Taternika popełniłem dwa fatalne (i zupełnie niezrozumiałe błędy. Na s. 3 z Agnieszki Gajewskiej zrobiłem Annę (a znam moją klubową koleżankę od czasów, gdy była jeszcze podlotkiem), a na s. 43 ogłosiłem mimochodem, iż partnerem Leszka Cichego podczas pierwszego wejścia zimowego na Everest był Jurek Kukuczka (aż nie wypada przypomnieć, że był nim Krzysiek Wielicki). Widać pośpiech podczas kończenia numeru musiał znacznie przyćmić przytomność mego umysłu, co jednak nie jest żadnym usprawiedliwieniem. Rumieniąc się mocno, przepraszam zarówno zainteresowanych, jak i czytelników.

Rafał Kardaś

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI


7-dniowy kurs wspinaczki
w "Sokolikach" w/g programu PZA.
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.
Ponadto wspinaczki rekreacyjne
w skałkach i górach.

Instruktorzy PZA:


Bogna Jakubowicz

Piotr Jaskiewicz

Tomasz Kliś

Wojciech "Dozent" Wajda 

Informacje i zapisy w sklepie:

50-013 Wrocław 
ul. Czysła 7

tel/fax (0-71)72 58 38

e-mail: dozent@onyx.com.pl

CONTENTS

- 1 – „Urusvati?” – new Polish
6,000 m high peak
- 2 – Makalu – end of century succes
- 3 – 21 8,000 meters high peaks
- 8 – Caves year 1998
- 10 – Need for alpinist guide in Tatras
- 15 – Belaying in sandstone
- 17 – X Biennale Mountaineering
Photography
- 18 – Space ruler's downfall
- 19 – Polish solitary climbing
in El Capitan
- 20 – Feting new record
- 22 – On the edge of Antarctica,
Queen Maud Land
- 28 – Obituaries
- 32 – Jackets
- 35 – Letters
- 36 – Caves and speleology
- 38 – News of organization

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92
e-mail: afklos@friko4.onet.pl

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Świącicki

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teks-
ty na komputerze, o przekazywanie ich w for-
mie dyskietek (zwracamy) w programie TAG,
Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

ALPINIZM - TURYSTYKA

Polecamy
w szerokim zakresie:

**CAVE
SPORT**

❖ Sprzęt alpinistyczny
i turystyczny

❖ Literaturę górską

❖ Obuwie turystyczne

❖ Odzież z tkanin POLAR,
GORE-TEX, HighTech MICRO

Instruktaż i szkolenie w zakresie
technik alpinistycznych.

Sklepy prowadzą alpinisci i grotolazi

Wrocław: ul. Czysła 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

SKLEP FIRMOWY

ul. K. Szajnochy (róg Gepperta), tel. (071) 72-36-31

 **alpinus**

Jelenia Góra: ul. Krótka 3

Zapraszamy

Dla stałych klientów niższe

Drodzy Koledzy!

Już od 15 grudnia '98 otwieramy podwoje
Naszej Chaty (BAZY ZIMOWEJ PZA) na Włosienicy

To jedyna okazja pobytu za pan brat z tatrzańską zimą
w rejonie Morskiego Oka.

Jednocześnie informujemy, że w okresie do końca marca '99
będzie kontynuowana akcja „JUNIOR-ZIMA”
(dotowane noclegi dla indywidualnie doszkalających się taterników).

Życzymy wielu dróg w tym i nowym roku.
Wszystkich serdecznie zapraszamy.

Z taternickim pozdrowieniem
Komisja Tatrzańska



Opłata za nocleg wynosi 12 zł
(w tym zapewniona kuchnia turystyczna
i poranna kąpiel w potoku)

Telefony informacyjne:
PZA (0-22) 36 36 90, Warszawa, Ciołka 17
Maciej Pawlikowski (0-165) 12-611 Zakopane
Tadzio „Asceta” wita bezpośrednio w Chatce

Po IX Walnym Zjeździe Delegatów PZA

